ŁOWIEC POLSKI



Niedźwiedź. Z drzeworytu Z. Fijałkowskiej.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 19 (903) 1 LIPCA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–



Skrzekot po rozpędzeniu toku cietrzewi. Fot. A. Dobrski.

W SPRAWIE SZKÓD ZRZĄDZONYCH PRZEZ ZWIERZYNĘ I ODSZKODOWAŃ ZA NIE

(Dokończenie).

Dotychczasowy sposób regulowania szkód, zrządzonych przez zwierzynę, drogą sądów rozjemczych, z prawem odwołania się stron do sądu okręgowego jedynie w razie naruszenia artykułów 61 — 67 ustawy łowieckiej, nastręcza bardzo duże wątpliwości i, jak to już na wstępie przytoczyłem, doprowadza niejednokrotnie do rozstrzygnięć niesłusznych, krzywdzących bądź poszkodowanego, bądź też osoby odpowiedzialne za zrządzone szkody.

Operowanie machiną ciężką, jaką są zazwyczaj sądy rozjemcze, złożone z osób, co do fachowości których można mieć bardzo daleko idące zastrzeżenia, w wypadkach, gdzie tylko pośpiech i fachowe podejście do sprawy może dać właściwe rozstrzygnięcie, winno być bezwzględnie zaniechane i, o ile nowa ustawa łowiecka wejdzie pod obrady Sejmu, łowiectwo nasze musi dołożyć wszelkich starań, by sprawa ta załatwiona została odmiennie, w sposób usuwający dotychczasowy i wysoce niesprawiedliwy stan rzeczy.

Właściwe rozstrzygnięcie sprawy zawiera w sobie dwa zasadnicze zagadnienia. Pierwsze dotyczy wysokości szkód, drugie ostoi zwierzyny, która wyrządziła szkodę, czyli, inaczej mówiąc, osoby za tę szkodę odpowiedzialnej. Sprawa powyższa rozwikłana być może: przy pierwszem zagadnieniu przez osobę posiadającą właściwe kwalifikacje rolnicze do szacowania szkód, przy drugiem zaś przez osobę dokładnie znającą teren i stosunki łowieckie, na danym terenie panujące. Czy kwalifikacje te, które mojem zdaniem są elementarnemi podstawami likwidacji tego rodzaju szkód, posiadane były przez dotychczasowe, ustawowo do spraw tych powołane organy, mam bardzo poważne wątpliwości i przypuszczam, że stanowisko moje mogłoby być poparte całym szeregiem niezbitych dowodów, stwierdzających, że przepisy obecnej ustawy, zmierzające jedynie i wyłącznie do wynagrodzenia rzeczywistych strat przez zwierzynę wyrządzonych, odnosiły niejednokrotnie zupełnie odmienny a nieoczekiwany rezultat, doprowadzający do tworzenia źródła zysku lub wyzysku u tej czy u innej strony.

Nie ulega wątpliwości, że każde rozstrzygnięcie sprawy może być mylne, jednak orzeczenia, wydane przez osoby posiadające odpowiednie kwalifikacje, będą zawsze bliższe słuszności, aniżeli wyroki, ferowane przez organy nie posiadające powyższych walorów.

Jedynem wyjściem zatem z tej uciążliwej sytuacji jest, mojem zdaniem, usunięcie sądów rozjemczych od powyższych czynności i powierzenie ich zaprzysiężonym rzeczoznawcom, na których powoływać się winno osoby z wykształceniem lub praktyką rolniczą, posiadające ponadto znajomość łowiectwa i terenu, na którym wypadnie im swój zawód wykonywać.

W każdym powiecie, a ewentualnie nawet i w gminie, gdzie zachodzą wypadki uszkodzenia pól przez zwierzynę, rzeczoznawca posiadający takie kwalifikacje winien być przez miarodajne czynniki powoła-

ny i zaprzysiężony, by działalność jego nosiła cechy jaknajdalej idącej bezstronności i powagi.

W jaki sposób ma być uregulowany stosunek stron do zaprzysiężonego rzeczoznawcy i na czem mają polegać jego czynności, postaram się w możliwie krótkich zarysach zobrazować.

Każdy wypadek uszkodzenia pól przez zwierzynę powinien być niezwłocznie, nie później jednak jak w ciągu 7 dni od daty powstania szkody, podany do wiadomości rzeczoznawcy, który obowiązany będzie w czasie możliwie najkrótszym udać się na miejsce szkody, zawiadamiając zawczasu strony o dniu rozpoczęcia swoich czynności.



Czarny bocian na żerowisku. Fot. por. E. Bohdanowicz.

Pierwszem zadaniem rzeczoznawcy winno być przedewszystkiem stwierdzenie czy szkoda zrządzona została rzeczywiście przez zwierzynę. O ile fakt powyższy nie ulega wątpliwości, może on dopiero przystąpić do dalszych czynności.

Przy szkodach w ziemiopłodach dojrzewających lub już dojrzałych rzeczoznawca będzie mógł natychmiast przystąpić do obliczenia wysokości szkody, za podstawę do ustalenia której winien służyć przedewszystkiem dokładnie wymierzony obszar zniszczonych łanów i procentowy stosunek wartości ziemiopłodów przez zwierzynę zniszczonych do wartości spodziewanego plonu z ustalonej a dotkniętej uszkodzeniem powierzchni. Jak już zaznaczyłem, obszar uszkodzony winien być ściśle wymierzony, gdyż wszelkie ustalania na oko tego podstawowego a niezbędnego dla określenia szkody czynnika doprowadza zawsze do błędnych orzeczeń, o czem niejednokrotnie, zarówno przy szkodach dokonanych przez zwierzynę, jak i przy innych szkodach elementarnych, zdołałem naocznie się przekonać. Będąc przed laty zawezwany do jednego ze swych przyjaciół w charakterze eksperta do oceny poważnej szkody dziczej, spowodowanej w 40 morgowym łanie kartofli, określiłem na oko obszar uszkodzonego łanu na 16 morgów, podczas gdy sam właściciel, jak i jego sąsiedzi, wytrawni rolnicy, obszar ten ustalili conajmniej na morgów 20. Jakież było nasze zdumienie, gdy po kilkakrotnych i sumiennie dokonanych pomiarach nie mogliśmy wyjść nawet na 8 morgów uszkodzonej przestrzeni! A jak wyglądałby odpowiedzialny za szkodę właściciel dziczej ostoi, gdyby przyjął choćby nawet mój tylko na oko dokonany pomiar uszkodzonej powierzchni, wystarczy wziąć tylko ołówek, a cyfry będą miały swoją wymowę.

Drugim kardynalnym warunkiem do określenia wysokości szkody musi być dokładnie przeprowadzona ekspertyza stopnia uszkodzenia, polegająca na ścisłym ustaleniu stosunku ziemiopłodów uszkodzonych do ogólnie spodziewanej i fachowo usprawiedliwionej wydajności z uszkodzonego obszaru.

Mając więc zasadnicze elementy, służące do określania szkody, a więc: obszar uszkodzonego pola, stopień uszkodzenia i wydajność uszkodzonego łanu, rzeczoznawca będzie mógł ustalić ilość zniszczonych jednostek danego ziemiopłodu i mnożąc je przez istniejące ceny rynkowe otrzyma szkodę brutto. Ponieważ w cenach rynkowych ziemiopłodów zawarte są ponadto koszty robocizny, zwózki i omłotu, przeto dla otrzymania właściwej sumy odszkodowania, koszty te w wysokości conajmniej 15% do 25% w zależności od rodzaju uszkodzonego ziemiopłodu, winny być od ustalonej sumy brutto potrącone.

Jeżeli stan pól dotkniętych szkodą nie pozwala na określenie jej wysokości, a to ze względu na początkowe stadjum rozwoju roślin, czy też na miejscowe warunki glebowe lub klimatyczne, które mogą sprzyjać zabliźnieniu okaleczeń i złamań spowodowanych przez zwierzynę, a tem samem oddziaływać na zmniejszenie szkody, to obowiązkiem rzeczoznawcy powinno być dokładne opisanie stwierdzonego stanu rzeczy i odłożenie likwidacji do czasu właściwego. W sporządzonym w tych wypadkach opisie rzeczoznawca winien uwzględnić wszystkie te okoliczności, które, niezależnie od szkody zrządzonej przez zwierzynę, mogą się odbić ujemnie na wydajności danego pola. Zanotowanie tych wszystkich okoliczności stanowi moment niezmiernie doniosłej wagi, albowiem jest rzeczą powszechnie znaną, że przy ostatecznej likwidacji wszelkie szkody spowodowane przez czynniki zewnętrzne, jak długotrwałe zlewy, grady, mrozy, lub też przez szkodniki i choroby roślin, będą kładzione na karb szkody zrządzonej przez zwierzynę i uchronienie się od tych ludzkich zresztą pretensji, nawet gdy ich przyczyna leży w złej lub niedbałej uprawie roli, będzie inaczej sprawą trudną do przeprowadzenia.

Przy szkodach zrządzonych jesienią w oziminach, zasianych na niedokładnie wykopanych kartofliskach, rzeczoznawca będzie niejednokrotnie postawiony przed bardzo trudnem zagadnieniem. Wytrawnej jego ocenie należy pozostawić, czy zboże ma być pozostawione dalszemu rozwojowi w stanie uszkodzonym z tem, że dopiero przed zbiorem określi się wysokość szkody, czy też można przeprowadzić likwidację natychmiast, wypłacając poszkodowanemu koszty robocizny, zasiewu i pewnego dodatku, który byłby ekwiwalentem za różnicę cen lub wydajności plonów, otrzymanych z powtórnej wiosennej uprawy.

W tych krótkich zarysach starałem się możliwie dokładnie wyłuszczyć zasady, według których ustalana być winna wysokość szkody zrządzonej przez zwierzynę. Na zakończenie chciałbym jeszcze dodać, iż jakkolwiek w wielu wypadkach będziemy mieli między poszkodowanymi jednostki, które domagać się będą odszkodowań znacznie przekraczających rzeczywiście poniesione szkody, to jednak zjawisko to jest najczęściej wynikiem niewłaściwej oceny przez poszkodowanego stanu pól i kładzenia przez nieświadomość na karb szkody zrządzonej przez zwierzynę wszelkich uszkodzeń, jakie na danem polu z tych lub innych przyczyn dają się zauważyć. Cierpliwe, rzeczowe, na fachowości i powadze oparte stanowisko zaprzysiężonego rzeczoznawcy doprowadzi w ogromnej większości wypadków do zgodnego ustalenia wysokości szkody, nie wyłączając i tych przypadków, w których poszkodowany działać będzie w złej woli, z wyraźną chęcią wyzyskania sytuacji.

Zresztą dla osób niezadowolonych z orzeczenia rzeczoznawcy nikt drogi zamykać nie zamierza i dlatego też możność stawiania zarzutów przed właściwym sądem winna stać szerokim otworem.

Załatwienie sprawy z poszkodowanym jest najważniejszem zadaniem, nie wyczerpuje ono jednak całości zagadnienia, które nakładać będzie ponadto na przysięgłego rzeczoznawcę obowiązek ustalenia ostoi, z której zwierzyna dokonywa niszczycielskich na cudze pola wypadów. Dla leśników sprawa ta wy-

dawać się może bardzo prosta, w praktyce jednak nastręczać ona będzie poważne trudności i tylko człowiek obeznany dokładnie z terenem, na którym swój zawód wykonuje, orjentujący się dobrze w rewirach sąsiadujących z uszkodzonemi polami i w ich gospodarce łowieckiej, będzie mógł wydać sprawiedliwe orzeczenie.

Wiemy bowiem bardzo dobrze, że nie wszystkie rewiry leśne mają jednakowe warunki dla bytowania zwierzyny; w jednych, bogato wyposażonych przez naturę lub człowieka, zwierzyna znajduje dostateczną ilość pożywienia i wypady na pola sąsiednie ograniczone będą do nielicznych, sporadycznych wypadków, w innych, upośledzonych przez naturę lub jednostronnie prowadzonych rewirach leśnych, buszowanie zwierzyny po cudzych polach będzie zjawiskiem codziennem, zwłaszcza gdy właściciel ostoi nie czyni żadnych wysiłków w kierunku dostarczenia niezbędnej ilości karmy dodatkowej. Sąsiadujące z takiemi rewirami pola uprawne będą niewątpliwie niszczone przez zwierzynę z tych drugich rewirów, choćby nawet one były znacznie dalej od miejsca szkody oddalone.

Ponieważ ustalenie osoby odpowiedzialnej za zrządzone szkody winno być w zasadzie najzupełniej obojętne dla poszkodowanego, przeto w tych trudnych i wątpliwych wypadkach zaprzysiężony rzeczoznawca będzie mógł z całym spokojem i w zupełnej zgodzie z własnem sumieniem korzystać z organów Polskiego Związku Łowieckiego i w miarę potrzeby zasięgać opinji osób, działających na terenie w charakterze Łowczych lub Podłowczych Powiatowych.

Przy ustaleniu osoby, odpowiedzialnej za szkody, stronie obowiązanej do świadczeń winno być również przyznane prawo odwołania się do właściwego sądu.

Poruszony w niniejszym artykule temat obejmuje jedynie sprawę szkód zrządzonych przez dziki, sarny i jelenie, szkód zrządzonych przez nasze drapieżniki narazie nie poruszam, gdyż stanowią one zupełnie odrębne zagadnienie, do którego pozwolę sobie powrócić.

ANDRZEJ ŚLIWIŃSKI.

POLESKA POGADUSZKA

Jakób Krawczuk wybrał się na polowanie. Kłusownik był stary, zajadły. Jak łoś, umiał pędzić przez błota i jak pies gończy — tropić zwierzynę.

Szalikiem zawiązał szyję, pistonówkę rozebrał i pod „siermiahę" schował, do kieszeni „doł butyłok" i poszo-o-oł!

Kiedy wrzasnęły pierwsze kaczory i brzęk komarów był coraz głośniejszy, na „Łukaszowu polanu" wychodził ogromny kozioł.

Jakób śpieszył się bardzo. Ale że staremu coś już w „hrudziach" zatykało, więc przysiadł na powalonym pniu. Ot, tak na trochę, na „mamient". Macnął się po boku. „Doł butyłok". — Więc „potiahnuł" — raz, drugi, trzeci... — „Bud' zdorow. Jakóbku" — i tak do końca.

Czas już iść. — Ruszył się stary, ale świat mu dziwnie jakoś kołował. Coś załopotało — drgnął Jakób. — To tylko „hupacz" zleciał ze sosny. A nasz Jakób coraz to weselszy. Miesza mu się coprawda błoto z olszyną, jakieś fantastyczne kształty przybiera bajorko... Ale strzelbę niesie pod pachą.

Przysiadł znowu. — Tak na „chwylku". — Poco ma się właściwie śpieszyć? Ot, „zdremnułsiab".

Widzi Jakób, że dobrze zrobił. — Bo kozioł idzie wprost na niego. Taki jakiś „bistry" i „zuby szczyryt" i staje przed Jakóbem jakgdyby nigdy nic.

A Jakób zamiast strzelać rżnie pogaduszkę. — „Ah jakiż ty durny" — mówi do kozła — „toż ja tebe zabyty mohu". — A kozioł: „Nie zabijesz Jakóbku, nie, bo „pjanyj". — Więc Jakób za strzelbę, a tu kozła już niema.

„Szczo takoje" — pomyślał stary.

A tu lis poszczekuje... I przed Jakóbem tańcuje, i merd Jakóba „chwostom" po twarzy, po strzelbie. A Jakób tak się zdziwił, że słowa przemówić nie może. Stara się lisa za „chwost" złapać, ale tylko co go za ogon złapie, to lis pac Jakóba łapą po „mordi" i „w utieki".

„No, beda" — majaczy się Jakóbkowi.

Aż tu widzi Jakób przed sobą niedźwiedzia.

Stanął „medwed' " przed Jakóbem i patrzy.

A Jakóba nagła złość ogarnęła. Że mu tak źle. Że już starowaty. Że machorki już niema. Że baba „serdyta". Że już „ nie dobaczuje". Że leśniki pędzą z lasu. I tak cała bieda Jakóbowego życia stanęła mu przed oczami.

Więc, „raz smert' " i rzucił się na „medwedia".

Tylko że „medwed' " jakiś nie lichi. Podaje łapę Jakóbowi i mruga wesoło. I gdzieś Jakóba prowadzi.

Usiedli razem.

— — — — — — — — — — — — —

„Medwed' " sztuka „chitra".—Ale żeby aż tak „chitra" była, to się tego Jakób nie spodziewał.

Siedzi tylko i mruczy i patrzy na Jakóba. „Szczo ty"? — pyta Jakób. A tu niedźwiedź wyciąga z pod kudłów najprawdziwszą butelkę samogonki i przepija.

A przed Jakóbem raj się otworzył.

— — — — — — — — — — — — —

I tak już rok w rok. Kiedy kozły na polany wychodzą, wymyka się Jakób z domu, „doł butyłki" chowa do kieszeni i — po-o-o-szoł.

STANISŁAW PODGÓRSKI.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na II półrocze, III kwartał, lub na miesiąc lipiec.

Jednocześnie zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. **Administracja.**

DŻIN

Dżin pochodzi ze znanej rodziny „Cocker-spanieli", a sądząc z imion — mającej pijackie tradycje. Matka jego nazywała się Whisky, ojciec Grog, a dziadek Rum. Medale na wystawach i próbach polowych nie były rzadkością w ich rodzie, nic dziwnego więc, że Dżin odziedziczył zalety urody i umysłu, właściwe swej rasie. Najwięcej jednak podobny jest z charakteru do swego dziadka Ruma, o którym opowiadano różne historje. Gdy pewnego dnia jego właściciel kazał mu warować, a potem zapomniał go zwolnić z tego rozkazu, Rum przeleżał parę godzin, wpatrzony w smaczny kąsek, aż wkońcu zasnął ze zmęczenia. Innym znów razem przez cały dzień szukał rękawiczek swego pana, zgubionych na polowaniu, a gdy mu powiedziano: — znalazłeś jedną, a gdzie druga? — natychmiast pędem zawrócił i zjawił się dopiero w nocy, obłocony i mokry, z tryumfem niosąc drugą rękawiczkę. Cały dom zbudził szczekaniem, bo chciał osobiście swemu panu wręczyć zgubę.



Z wystawy psów 1938 r. w Dolinie Szwajcarskiej. Champ. Rollick of Harting, Springer-spaniel, wł. Izabelli ks. Radziwiłłowej. Fot. J. Hołyński.

Czyż można się było temu dziwić? Biedaczek, na swych krótkich łapkach, skacząc wytrwale po kępach i zaroślach, zrobił kilkanaście kilometrów, byleby tylko zasłużyć na pochwałę. Kiedyś znów jednemu z myśliwych wykradł ładownicę na polowaniu, nie orjentując się, że względy uprzejmości i gościnności jego pana, jako gospodarza polowania, kazały gościowi wypożyczyć ładownicę.

Dżin, jako psie niemowlę, przejawiał już silną wolę i upór dziedziczny. Gdy przyjechał do nowego domu, odrazu pokazał, że ma w sobie żyłkę myśliwską: aportował niestrudzenie różne przedmioty, naturalnie najmilsze były zawsze ranne damskie pantofle, które puszystemi pomponami drażnią i łechczą w nos. Dżin specjalnie jest na nie zażarty — bo poco taki czerwony pompon sterczy pod łóżkiem i prowokuje — połknął go Dżin z satyfaskcją po długiej zabawie, ośliniwszy przedtem porządnie, jak pigułkę. Pokornie wziął w skórę, a potem merdał uprzejmie ogonem na widok „kości" z gumy, ofiarowanej mu do zabawy. Jednak uparcie wolał pompony i przy pierwszej sposobności skoczył, by zatopić zęby w czerwonej kuli, drąc jednocześnie jedwabną pończoszkę na nodze. Tym razem, po dobrych klapsach, Dżin zrozumiał, że tak niemożna i zaprzestał zabawy z pantoflami. Zato od czasu do czasu ignorując kości, ostrzy swoje szpilki-zęby o co się da: o nogę fortepianu, lub fotela, czasami nawet uda mu się wypróbować cierpliwość jakiegoś gościa.

Domowych gryźć niewolno, więc od czegóż są te obce kończyny, ruszające się pod stołem? Dżin, złapany na gorącym uczynku, wywraca oczy, jak murzyn i robi dowcipnie-naiwną minę. Po psotach jest uległy i posłusznie wdrapuje się na swoje łóżko, gdzie zasypia natychmiast, wtulając głowę z czarnemi motylami uszu pod centkowaną łapę. Ale przez sen pomysłowość jego mózgu nie ustaje. Dżin zaczyna się kręcić, poszczekiwać od czasu do czasu, wydymając groźnie wargi. Bezwładna tylna łapa nad różowym nakrapianym brzuszkiem drży w nerwowych podrzutach. Mogłabym wtedy przysiądz, że w snach Dżin atakuje wszystkie nogi domowników i pożera same czerwone pompony, bo dlaczegóżby miał po każdem przebudzeniu taką zawstydzoną minę i pokornie lizał ręce? Widocznie pamięta o grzesznych marzeniach.

Czy Dżin będzie dobrym psem myśliwskim, przyszłość dopiero pokaże. Jednak ostatnie jego wyczyny świadczą chyba o tem.

Pewnej ciemnej nocy, kiedy Dżin już spał, przyjechał jego pan z polowania i przywiózł zająca. Zdobycz myśliwską uwiązano w kuchni, koło okna. Od samego rana Dżin okazał się bardzo przedsiębiorczy. Węszył pilnie, machając długiemi uszami, sapał, stroszac wąsy i merdając krótkim ogonkiem. Dżin poczuł w domu coś niezwykle pociągającego. Po stromych schodach, wiodących o piętro niżej do kuchni, spadł głową na dół, jęknął i już był na tropie. Począł się czołgać pomalutku, a potem, wspiąwszy się na krzesło i stół, dosięgnął zająca. Musiał jeszcze stoczyć bój ze sznurkiem, który wreszcie ustąpił i wtedy Dżin złapał swą zdobycz, ciągnąc ją jak się dało, za słuchy i skoki, szarpiąc przytem od czasu do czasu miękki puch, przypominający mu łechtaniem pompony pantofli.

Na schodach było bardzo trudno sobie poradzić, wobec tego Dżin postanowił zbudzić pana. Wielkie było zdumienie całego domu, gdy spostrzeżono jakiego zwierza stara się cocker aportować. Sława jego urosła tak, iż opowiadając o tym wyczynie, mówi się, że to było na polowaniu... Kronika rodzinna lubi upiększać!

Dżin jest nadzwyczaj pomysłowy. Oto niedawno zabawił się w porywacza dzieci. A stało się to tak. Jamniczka domowa, Pepi, została matką, pielęgnując parkę szczeniąt z oddaniem. Do nich to Dżin zaglądał zdaleka z najwyższem zaciekawieniem. Przekrzywiał głowę, podnosił brwi w niepomiernem zdziwieniu, trwał w kontemplacji aż do chwili, gdy Pepi wpadała na niego z zajadłem szczekaniem. Umykał, potykając się przez własne uszy i kuląc ogon w nakrapiane hajdawery.

Pewnego dnia, gdy Pepi poszła na spacer, Dżin podreptał w stronę jej koszyka i ze zdumieniem zobaczył, że obok, rozpłaszczony na ziemi, jak olbrzymi karaluch, łazi szczeniak. Dżinowi ze zdumienia zachwiały się karbowane uszy. Oczom własnym nie wierzył, Pepi nie było, a to coś piszcząc łaziło nieporadnie na wszystkie strony, jakby było ślepe. Dżin cofnął się, przysiadł, szczeknął, uciekł w kąt, ale po chwili jeszcze z większem zaciekawieniem powrócił. Teraz skradał się na miękkich, cichych łapach; przy samym szczeniaku zatrzymał się, powąchał go, potem oblizał zamaszyście, wziął ostrożnie w pysk i,

mozolnie wspinając się po schodach, wygramolił się z trudem, by ostatnim wysiłkiem u nóg pana złożyć zdobycz — piszczącego psiaka.

Na tę chwilę wpadła Pepi i Dżin zrejterował pod łóżko. Tak stosunkowo szczęśliwie skończyła się przygoda Dżina-porywacza.

Gniewamy się na psa, kiedy psoci, a teraz wszyscy są zasmuceni, bo Dżin zachorował na nosówkę. Patrzy łzawemi, zaczerwienionemi oczami i od czasu do czasu podaje ruchem znużonym miękką, gorącą łapkę, nie rozumiejąc swego stanu i prosząc o pomoc. Tuli się pieszczotliwie do każdego, jak chore dziecko i przytyka do rąk czarny, spierzchnięty nos, który parzy, jak węgielek. Zapominamy teraz o tresurze, posuwając się aż tak daleko w rozpieszczaniu małego chorego, że proponujemy mu pantofel z pomponem do zabawy. Przez chwilę Dżin robi taką minę, jakby się budził z głębokiego snu, wyraźnie się dziwi, ale potem odrzuca pokusę, opiera tylko swój czarny łebek na pantoflu i ze znużenia zamyka oczy.

Przez sen drży i dyszy, choroba dręczy biednego Dżina, jak zmora, a my tak chcielibyśmy, żeby był znowu zdrów, uparty i... niegrzeczny.

ZOFJA KELUS-LIPKOWSKA.

Z MIKOTEM*) NA KOZŁY

Zagadnienie wabienia zwierzyny wielce mnie zawsze interesowało. Najwięcej sprawami temi zajmują się Niemcy, którzy stworzyli nietylko rozliczny sprzęt wabiarski, ale i formalną naukę o wabieniu zwierzyny.

Na kozła mają np. kilkanaście zasadniczych modeli mikotów z mnóstwem odchyleń. Ponad to stosują liście, słomki i inne środki, któremi potrafią mikotać. Prawdziwy natomiast artysta niemiecki wabi kozła wyłącznie zapomocą liścia bukowego lub ustami.

Niemiecka nauka o wabieniu kozłów jest bardzo skomplikowana i trudno ją przeniknąć. Im więcej się czyta artykułów o wabieniu kozłów w niemieckich czasopismach łowieckich, tem więcej nabiera się przekonania, że jest to zagadnienie tak trudne, iż przeciętny myśliwy nigdy się tej sztuki nie nauczy. Pomyślny wynik wabienia uzależniają od pogody, ilości zwierzyny w łowisku i liczbowego stosunku płci, warunków żerowiskowych i mnóstwa innych okoliczności.

Pomimo stosowania tej skomplikowanej nauki, powtarzają się w czasopismach niemieckich bezustanne skargi, że kozły nie reagują na renomowane wabiki i — mądre rady.

Sprawa wabienia zwierzyny zasługuje niewątpliwie na większe zainteresowanie, aniżeli okazują go nasi myśliwi. Liczba myśliwych polskich, umiejących przywabić jarząbka, lisa kniazieniem zająca lub piskiem myszy, przyryczeć byka lub mikotać, nie jest, niestety, wielka. A jest to niewątpliwie więcej interesujący sposób polowania, dający przytem więcej emocji myśliwskiej wysokiej klasy i wymagający wyższych klasyfikacyj łowieckich, aniżeli podjazdy, podchody czy czaty na upatrzonego zwierza.

To też polując w roku 1936 w nadleśnictwie B. na kozły po okresie godowym w końcu sierpnia, wielce mnie zaciekawiło twierdzenie miejscowego gajowego, że umie mikotać i że w czasie rui przywabił kilkanaście kozłów. Gdy mi to potwierdził miejscowy nadleśniczy, postanowiłem zapolować na kozły w nadleśnictwie B. w czasie następnej rui, by się tej, w moich oczach, magicznej sztuki nauczyć.

Nabyłem oryginalny niemiecki wabik Uhlenhuta, używający w swojej ojczyźnie dobrej sławy i pełen oczekiwania wybrałem sią w końcu lipca do nadleśnictwa B. Wyobraźnia moja pełna była niebywałych wyników myśliwych niemieckich, którzy ogłaszają często wrażenia swoje z wabu kozłów w swoich czasopismach łowieckich, udokumentowane zdjęciami fotograficznemi. Do swoich możliwości odnosiłem się sceptycznie i nie wierzyłem, by mi się mogło udać przywabienie kozła.

Nadleśnictwo B. leży na Kresach i jedzie się do niego koleją, autobusem i przy końcu furką poleską. Ląduje się na miejscu późnym wieczorem. Miejscowego nadleśniczego, p. R. J., cenię bardzo, gdyż jest to zamiłowany, prawy myśliwy, kochający swoją zwierzynę, dbający o nią i orjentujący się dobrze w zagadnieniach łowieckich.

Gajowy W., mający zdeklarowane zamiłowanie łowieckie i będący gajowym w trzeciem pokoleniu, ma powierzoną pieczę nad zwierzyną i z zadania tego wywiązuje się bez zarzutu. Łowisko ma na przestrzeni 6.000 ha dobry i zdrowy stan sarn, a kozły mają, dzięki dobrym żerowiskom na zrębach i selekcji dokonywanej przez wilki, grube poroża. Zajęcy jest oczywiście mało, są natomiast jarząbki, cietrzewie, których liczba, podobnie jak w sąsiednich nadleśnictwach, niestety, nie powiększa się, kilka wilków (corocznie pada tam zimą 1—2 wilki), przechodni ryś natomiast bywa rzadki. Są także dziki, lecz liczba ich nie powiększa się, niestety, gdyż Dyrekcja każe je odstrzeliwać ze względu na szkody, wyrządzane w polach uprawnych.



Paśnik w nadl. B. Fot. St. Hoppe.

Sarny żerują, oczywiście, głównie na zrębach, gdzie mają poddostatkiem dobrej i słodkiej paszy.

Następnego ranka wyruszyliśmy dodnia na podjazd. Warunki były nieprzychylne. Pogoda była duszna i dżdżysta, w dniu takim nie należało się spodziewać ożywionej rui. Tak też, niestety, było. Zręby były puste, sarny stały w ostojach swoich, lub prawdopodobnie żerowały w zagajnikach, były w każdym razie niewidoczne. Podjazd trwał już przeszło dwie godziny, a nie ujrzeliśmy ani jednej sztuki. Jadąc drogą wzdłuż kniei, minęliśmy linję, na której stała sztuka. Zeskoczyłem z furki i spojrzałem przez lornetę. Był to kozioł i wydawał się dobry. Po strzale machnął koziołka przez łeb i uszedł. Na zestrzale znalazłem farbę płucną, przeszedł jeszcze pięćdziesiąt kroków. Był młody i niedojrzały, miał parostki średnie, ważył jednakże po wypatroszeniu 22 kg. Chociaż poroże mnie nie zadowoliło, założyłem z radością złom na kapelusz.

Wabienie gajowego nie odniosło żadnego skutku i usiłowiania moje na mikocie także były bezowocne.

*) Wabik.

Wieczorem podjazd był jeszcze gorszy, padał drobny, dokuczliwy deszcz, nie widzieliśmy ani jednej sztuki i nastrój w łowisku był nudny i ospały. Wabienie nasze nie odnosiło znowu żadnego skutku. Gdybym nie znał łowiska, powiedziałbym, że sarn wogóle niema. O możliwości przywabienia kozła zacząłem poważnie wątpić.

Następnego ranka było nieco weselej. Chmury wisiały coprawda bardzo nisko, nie było jednakże tego wczorajszego nudnego i przygnębiającego nastroju.

Przejeżdżając przez zrąb, zeskoczyłem z furki i zawabiłem, ukryty za krzakiem jarzębiny. Po chwili usłyszałem za mną dziwne sapanie, którego nie umiałem sobie wytłomaczyć. Sapanie to zbliżało się do mnie i stawało się coraz wyraźniejsze. Obejrzałem się i o sześćdziesiąt kroków ujrzałem łownego kozła z kapitalnem porożem; stał na sztych i oczył ku mnie. Zmierzyłem się i odpaliłem. Tym razem kozioł nie blagował, miał rzeczywiście kapitalne poroże o pięknej rozłodze z grubemi tykami i różami.



Mocny rogacz, ubity przez Starostę Szamotulskiego P. Adama Narajewskiego w leśn. Tomaszowo (Państw. Nadl. Wronki — Poznańskie), na lichej glebie. Wysokość łodyg obustronnie 27 c/m., obwód róż 22 c/m. Wartość poroża osiągnięta dzięki zadawanej paszy sezamowej. Fot. „Ognisko", Szamotuły.

Usłyszawszy strzał, gajowy czemprędzej wrócił na zrąb, radując się z ubitego kozła. Nagle odezwał się na drugim końcu zrębu inny kozioł, który także podszedł na wab, głośno szczekając basowym głosem. Po oczyszczeniu ubitej sztuki, wyprawiłem czemprędzej gajowego, polecając wypatroszyć w lesie i podszedłem brzegiem kniei do kozła szczekającego. Na mikotanie moje zbliżył się nieco, nie wyszedł jednakże z gąszczu, pokrywającego zrąb. Po chwili zaczęło się szczekanie jego oddalać — wrócił do lasu.

Pojechaliśmy więc dalej. Znowu otworzyła się przed nami duża polana, pokryta krzakami olszynowemi. Zdala już ujrzeliśmy dwie sztuki: kozioł gonił kozę. Podjechawszy bliżej, stwierdziłem, że kozioł jest dobry, o zadowalającem porożu. Strzeliłem do niego na 87 kroków, został na miejscu. Parostki były słabsze od poprzedniego, dobrze jednakże uperlone o grubych różach.

Tuż obok polany było bagno, suche stosunkowo w owym wyjątkowo suchym roku. W gęstwinie bagna tego stały sarny. Stanąłem za krzakiem olszynowym na skraju lasu i zamikotałem. Czekałem cierpliwie, powtarzając mój zew, wiedziałem bowiem, że trzeba cierpliwie czekać skutku. Po pewnym czasie zauważyłem sarnę, która przesuwała się przez krzaki i, żerując po drodze, zbliżała się ku mnie. Na każde odezwanie się moje podnosiła głowę. Rozpoznałem ją na odległość ponad stu kroków, jako dobrego kozła. Mikotałem więc w dalszym ciągu, kozioł to pokazywał się między krzakami, to ginął w zagłębieniach terenu i za gęstym podszytem. Zdawało mi się, że oddala się odemnie i gdy wychylił się z poza kępy olszynowej, złożyłem się i wypaliłem. Długie to i ceremonjalne mikotanie zdenerwowało mnie, ręce mi się trzęsły, a oddech miałem przyśpieszony, to też na czysto chybiłem.

Zrobiłem oczywiście błąd. Trzeba było się zmusić do spokoju, przyzwać kozła, który szedł na wab, bliżej i wówczas dopiero strzelić.

Także i wieczorem szły kozły na wab.

Jadąc lasem, widzę kozę z koźlęciem. Stoją bardzo blisko, chcę je sfotografować i zeskakuję z furki, kryjąc się za jałowcem. Koza jednakże uchodzi i na wab nie reaguje.

Na zrębie widzę kozę. Lokuję się za sągiem i wabię ją. Podnosi natychmiast głowę i zbliża się w podskokach ku mnie. Podwabiłem ją na dziesięć kroków i gdy nic ciekawego nie zauważyła, zaczęła się powoli oddalać. Na ponowny mój zew zbliżała się kilkakrotnie, aż ostatecznie zaniechałem dalszej zabawy.

Na pobliski zrąb wychodził gruby kozioł, który miał swoją ostoję w pobliskim gęstym zagajniku. Gdy obserwując wiatr wszedłem w zagajnik i zamikotałem, odezwał się natychmiast, gniewnie szczekając. Z hałasem wielkim zbliżył się do mnie na niewielką odległość. Nie udało mi się jednakże wywabić go z gęstego zagajnika. Gadaliśmy ze sobą przeszło pół godziny, odzywał się bez przerwy gniewnie, basowym głosem. Wobec beznadziejności podchodu w gęstym zagajniku, dałem jednakże za wygranę i wycofałem się ostrożnie, nie chcąc go spłoszyć.

Następnego dnia zrana była znowu fatalna, dżdżysta pogoda. Wkrótce po wyjeździe z domu zaczął siąpić dokuczliwy, drobny deszczyk. Warunki były zdecydowanie niekorzystne. Widziałem pięć sztuk i stojącego przy kozie w gęstym młodniku, kozła, który, jak to często bywa w takich wypadkach, nie reagował na wab.

Polowanie to dało mi bardzo dużo satysfakcji i cennych obserwacyj. Przekonałem się, że w dniach, gdy kozły idą na wab, nie potrzeba wcale artystycznej umiejętności naśladowania głosu kozy, by przyzwać kozła. Roznamiętnienie w czasie rui bywa tak wielkie, że nieraz zwiedzie go nawet nieumiejętne mikotanie.

Baczne obserwowanie sarn w czasie rui najlepiej nas nauczy sztuki mikotania. Poznamy wówczas głos kozy pi... pi... pi... i pi... pi... piu... piu... z odchyleniami oczywiście i o rozmaitem natężeniu. Naśladować wab kozy na mikocie nietrudno. Całe zagadnienie w tem, by kozły szły na wab i by myśliwemu „poszancowało".

Bywają artyści, którzy mając talent i możność zdobycia doświadczenia w zasobnem łowisku, osiągają nieraz wyniki zdumiewające.

Na początek starajmy się uprościć sobie możliwie zadanie. Najważniejsze zagadnienie w tem, by kozioł nasze mikotanie usłyszał i zechciał na nie reagować.

Normalnie trwa okres rui od połowy lipca do połowy sierpnia, z tem oczywiście, że jej początek i koniec bywa znacznie mniej ożywiony *). Główne nasilenie przypada na 2—4 dni pomiędzy 26 lipca a 5 do 8 sierpnia. Szczęśliwy ten myśliwy, który trafi na natężenie rui.

Wiedzieć musimy, że kozła stojącego przy kozie tylko wyjątkowo uda nam się przywabić. Nie możemy też liczyć na wywabienie kozła z lasu czy zagainika na polanę lub zrąb.

Okres rui i wabienia umożliwia nam ponadto dokładne zlustrowanie pogłowia sarn w łowisku. Ruch sarn trwa wówczas dzień cały i w dnie nasilenia rui

*) Niektórych lat kozły idą już na wab koło 7 lipca i wabią się niemal do końca sierpnia (Przyp. red.).

bywa bardzo ożywiony. Poznamy niejedną sztukę, lubiącą chodzić własnemi drogami i unikającą spotkania z myśliwym. Jest to najlepsza okazja do odstrzału wszelakich myłkusów, sztuk selekcyjnych, degeneratów, wsteczniaków, sztuk z wadliwemi porożami i t. d., lubiących się zataić przed okiem myśliwego.

Z niemałem zdumieniem przekonamy się wówczas, że w łowisku naszem bytują sztuki, których wcale nie znamy.

Nie trzeba oczywiście nadużywać mikotu i koncert uprawiać w łowisku całemi dniami. Wabimy raz i drugi, poczem czekamy cierpliwie. Stosować będziemy przedewszystkiem cichy wab pi... pi... pi..., który w lesie słychać daleko. Po pięciu czy dziesięciu minutach powtórzymy nasz zew, poczem czekamy kwadrans i dłużej, powtarzając oględnie mikotanie. Niezawsze rogacz zjawi się natychmiast i nieoczekiwanie z wielkim hałasem, lub wyrasta nagle przed nami, jak z pod ziemi. Rogacz taki widocznie szukał akurat towarzyszki i usłyszał nasz zew. Nieraz kozioł zbliża się do nas powoli, okrąża nas i usiłuje nabrać naszego wiatru. Nie wiemy przytem nigdy z której strony sztuka się zjawi.

Ułatwi nam wielce zadanie tak w łowiskach naszych, niestety, niedoceniana ambona. Mamy z niej daleki widok. Siedzenie na niej utrudnia, a nieraz wręcz uniemożliwia kozłowi zwietrzenia nas i ponadto rogacz nie spodziewa się niebezpieczeństwa z góry *).

Niepodobna zgoła określić przyczyn natężenia rui jednego dnia, a zupełnego spokoju w łowisku przez szereg dni następnych. Jednego dnia kozły idą ochoczo i natychmiast na wab, a innego panuje nastrój senny w łowisku i sarn wogóle nie widać. Nie wiemy dlaczego się tak dzieje i żadne wymyślne tłomaczenia niemieckie sprawy tej nie wyjaśniają.

Niema wątpliwości, że ważną rolę odgrywa pogoda, zasobność łowiska i stosunek ilościowy kozłów do kóz. Stosunek 1:1, do którego dążą Niemcy, skróci oczywiście okres godowy. Po pokryciu kóz kończy się z natury rzeczy ruja.

Nie zmusimy oczywiście żadnego kozła do reagowania na wab, używajmy więc mikotu oględnie. Starajmy się przedewszystkiem posiąść tę stosunkowo nietrudną sztukę i pamiętajmy, że nadmiernem i nieumiejętnem mikotaniem łatwo rozpłoszyć kozły i osiągnąć odwrotny wynik od zamierzonego.

STANISŁAW HOPPE

•

Do powyższego opisu dodam następujące ogólne wskazówki. Wabienia niemożna nauczyć się z opisu, trzeba być kilka razy na polowaniu z udziałem myśliwego lub strażnika, który umie to robić. Prócz tego trzeba mieć wrodzony słuch i zdobyć potrzebne doświadczenie, a wtedy będziemy mogli sami wabić z powodzeniem. Prócz Uhlenhuta znakomite są wabiki Buttolo, jednak nie pneumatyczne, naciskane ręką, a wkładane do ust, ustami bowiem operuje się znacznie pewniej i subtelniej. Kiedyś wpadłem na pomysł rozebrania pneumatycznego wabika Buttolo, wyjąłem wabik z gumowej pompki i rezultat okazał się znakomity: kozły zaczęły doskonale chodzić na wab, czego przedtem z tym samym wabikiem nie mogłem osiągnąć. Używam tego wabika po dziś dzień. Konstrukcja wszystkich wabików na kozła oparta jest na jednej zasadzie: drgający listek metalowy, oparty o łódeczkowatej formy rezonator, do którego języczek przyciskany jest regulatorem, przy pomocy którego można grubiej lub cieniej wabić. Cena wabika niema rozstrzygającego znaczenia, kto ma dobry słuch może sobie wybrać z pośród tanich wabików odpowiedni, lepszy znacznie od najdroższych.

*) Wątpliwe. Kozioł znakomicie orjentuje się skąd wabienie wychodzi i wabienie z góry wyda mu się podejrzane (Przyp. red.).

Kto chce skutecznie polować z wabikiem, musi znać swój rewir i umieć „chodzić" po lesie, wabiąc tylko tam, gdzie można się spodziewać rogacza, który bardzo pilnuje wybranego przez siebie rewiru i którego zawsze o tej samej porze można mniej więcej w tem samem miejscu zastać. Słusznie Sz. Autor ostrzega przed nadużywaniem wabika i urządzaniem ciągłych koncertów po całym lesie. Płoszy to bardzo sarny i czyni je niedowierzającemi. Na wabik przychodzą zarówno kozy, często z młodemi, jak i rogacze w różnym wieku. Dlatego przed strzałem należy dobrze obejrzeć zwabioną sztukę, najlepiej przez lornetkę, i nie polegać na zapewnieniach straży, dla której każdy kozioł jest dobry.



Trzy rogacze z nadleśnictwa B. Fot. St. Hoppe.

Kozły na wabik przychodzą różnie — czasem przybiegają pędem odrazu, czyniąc wiele hałasu, czasem znów podchodzą pocichu, częstokroć z tyłu, bardzo ostrożnie, starając się dostać wiatru. Zbliżanie się kozła czy kozy zdradza nam częstokroć trzaśnięcie gałązki, lub lekki szmer, dlatego należy podczas wabienia posiłkować się słuchem, który zwykle bywa bardzo pomocny. Zbliżanie się kozła zdradzają częstokroć drobne ptaszki, sikorki, bargle i mysikróliki, a także drozdy i sójki. Wszystkie te ptaki, zauważywszy idącego kozła, oznajmiają go specyficznem ćwierkaniem i innemi ostrzegawczemi głosami, które należy nauczyć się rozróżniać.

Ze strzałem nie należy zwlekać, gdyż kozioł, przekonawszy się, że nic niema, albo powziąwszy jakiekolwiek podejrzenie, zwykle prędko odchodzi i drugi raz nie podejdzie. Czasem wogóle przechodzi tylko zdaleka obok wabiącego. Takiego kozła, lub nastraszonego tylko zlekka, który nie oznaimił swego przestrachu szczekaniem, dobrze czasmi bywa obejść dokoła, zrobiwszy paręsetmetrowy lub nawet kilometrowy krąg i począć wabić z drugiej strony. Podobnie można zrobić z ruszonym kozłem. Kozła, który głośnem szczekaniem oznajmia swój przestrach, wabić nie należy i trzeba go zostawić w spokoju do innego razu, choćby np. do najbliższego wieczora, jeśli go wabiliśmy rano. Bardzo należy uważać, żeby usiąść w taki sposób, aby, jeśli kozioł podejdzie z tyłu, można było ostrożnie się obrócić, wystrzegając się gwałtownych ruchów, które kozioł natychmiast spostrzeże i ucieknie, nie dając myśliwemu nawet się złożyć. Jeśli nie możemy ostrożnie się obrócić, to trzeba czekać cierpliwie aż kozioł, okrążywszy nas, pokaże się z przodu, czego niezawsze można się doczekać.

Najlepiej wychodzą kozły zrana od świtu do 8-ej rano i wieczorem od 5-ej popoł. do zmroku. Udawało mi się jednak zwabić kozła i o 11-ej przed południem. W deszcz naogół nie chcą wychodzić. Silny wiatr utrudnia to polowanie, przy którem słuch niepoślednią odgrywa rolę.

W. W. G.



Skrzekot (pośrodku) na tokowisku wśród cietrzewi. Fot. A. Dobrski.

SKRZEKOT—TETRAO MEDIUS (Urogallus minor)

Polując Leicą i Exaktą na wszelkie żywe stworzenia, dzięki uprzejmości Karola Księcia Radziwiłła, na terenach Ordynacji Dawidgródeckiej, dostałem list, w którym Książe pozwala mi jechać do Nadleśnictwa Koszary, by tam na Łapeckich Górach sfotografować meldowanego przez gajowych na tokowisku cietrzewiem — skrzekota.

W pół godziny po otrzymaniu wiadomości już byłem na Lwie (rzeka) i całą parą „na pych" jechałem do Koszar. Wieczorem byłem na miejscu, a o 1 min. 30 w nocy wyruszyłem na tok.

Po godzinnym spacerze w towarzystwie mistrza od głuszców i cietrzewi starego Korzeniewicza znalazłem się na tokowisku.

Było jeszcze bardzo wcześnie — poprawiliśmy trochę mocno niewygodną budkę, ulokowując się w niej możliwie najlepiej. Pogoda nie wróżyła nic dobrego: chmurno, zimno, silny zachodni wiatr dmie prosto w twarz — tembardziej, że budka stoi na górce, na otwartem polu. Bach, bach, bach — jest, narazie cietrzew siadł niedaleko — gdzie niewiadomo, bo jeszcze za ciemno. Cisza. Minuty wloką się wolno, wolniutko—już dnieje, a tu nic i nic— cisza, jak makiem siał. Już widzę tego koguta co przyleciał, siedzi niedaleko smutny, skulony, obojętny na wszystko, — już zupełnie jasno. Wreszcie gdzieś zaczuszykał cietrzew raz, drugi, potem zrazu nieśmiało, potem coraz płynniej zaczął bełbotać — niedaleko odezwał się drugi.

Skulony kogut wyprostował się, wyciągnął szyję i zaczuszykał — po chwili nadleciało kilka kogutów i tok się rozpoczął nadobre. Patrzę na zegarek: 4 min. 45. Dziś mamy 7.IV, a zatem już po wschodzie słońca. Ni z tego ni z owego tokujące z prawej strony budki cietrzewie zrywają się i przelatują na lewą stronę, równocześnie słyszę jakiś dziwny dźwięk, jakgdyby ktoś chciał wymówić bardzo gardłowo: Klklkl — klkllsz, to znów kkk lub kkszll.

Korzeniewicz pokazuje w bok — pochylam się i przez gałęzie budki widzę o jakieś dwadzieścia kroków jakgdyby nieco małego głuszca. Stoi — ogon puścił w wachlarz, głowę wzniósł do góry i dusi się formalnie, chcąc śpiewać (jak głuszec na ziemi), a zamiast śpiewu słychać gardłowe, trochę bulgocące klklklsz. Nagle — uciął — rozejrzał się dokoła i w tej samej pozycji, dusząc się swem klkkszll podreptał w stronę tokujących kogutów. W pół drogi opuścił ogon, pochylił głowę nisko, rozwinął nieco skrzydła i już ni to lecąc ni biegnąc rzucił się na tokujące cietrzewie, a gdy one uleciały, stanął, zadarł głowę, puścił wachlarz i zaczął się dusić pełen godności, zwycięski — on. Po chwili znów rzucił się na tokujące cietrzewie, rozpędzając je — czynność tę powtarzał stale, biegając i polatując po tokowisku, aż wreszcie został na toku sam. Inaczej mówiąc rozpędził tok, według Korzeniewicza czynił to od początku toków. Mimo bardzo słabej pogody zrobiłem kilka zdjęć.

Drugiego ranka taksamo wcześnie siadłem w budce, już poprawionej i przystosowanej do zdjęć — byłem sam, gdyż Korzeniewicz poszedł na tok głuszców. Gdym wchodził do budki, pogoda była chmurna z przejaśnieniami od czasu do czasu i wiatrem, jak dnia poprzedniego. O 3 min. 35 zaczął tokować cietrzew, o 3,50 zjawił się skrzekot, równocześnie nadleciały inne koguty i tok się rozpoczął.

Kilka minut po czwartej zaczyna padać śnieg — niebo zaciąga się ciemną chmurą i śnieg sypie, jak w grudniu. Tymczasem tok trwa jakgdyby nigdy nic — koło 4,30 następuje szabas. Teraz chwila oczekiwania: będą tokować, czy nie. Koguty i skrzekot sie-

dzą smutne, skulone, a śnieg sypie i sypie — już biało na świecie, nawet cietrzewie też poprzysypywane.

Koło 5-ej zaczuszykał cietrzew, drugi mu odpowiedział, zabełbotał, podskoczył, łupnął skrzydłami, zaczuszykał — tok się rozpoczął nanowo, mimo wciąż padającego śniegu.

Na tokowisku zjawiły się kury; kwokcząc i pożywiając się, spacerują między tokującemi kogutami.

Dziś skrzekot zmienił taktykę, o ile wczoraj rozpędzał, to dziś spędza cietrzewie do budki — lata, biega i zagania odbijające się od toku koguty. Robię serję zdjęć — trochę przeszkadzają mi trawki i inne zielska na pierwszym planie, osypane mokrym śniegiem robią białe, nietłomaczące się plamy na sylwetach ptaków.

Nagle łopot, zimny prysznic i na budce siedzi kura— teraz ani mrumru, bo jak mnie tu odkryje, to zrobi alarm i wszystko przepadło.

Sprawa zaczyna się pogarszać, gdyż już skrzekot ją zauważył, a on strasznie o kury zazdrosny, spędza je razem, biega dokoła nich, odpędza koguty (sam nie kopuluje).

Podszedł blisko budki, dusząc się bezustannie, podskoczył raz i drugi wreszcie natarł i spędził ją.

Pomału przestaje padać, a równocześnie i tok ustaje, rozlatują się kury, za niemi powoli koguty, zostaje tak jak wczoraj tylko skrzekot. Jak dnia poprzedniego siedzi samotnie, poważny, zadumany, potem pożywiając się odchodzi z tokowiska na piechotę do pobliskich krzaków. Przypuszczam, że i stamtąd na piechotę na tok przychodzi, gdyż nie słyszałem przylotu.

Na trzeci dzień pogoda okropna, deszcz, wiatr, zimno — toku prawie nie było. Na czwarty, mimo słonecznej pogody, cietrzewie wcześnie rozpędzone tokują daleko od budki, a skrzekot lata tam i z powrotem, rozpędzając je coraz więcej, do budki zbliżył się raz na chwilę, to też uzyskałem tylko jedno zdjęcie.

W kilka dni potem został on odstrzelony przez hrabiego Jerzego Potockiego.

Jest to już piąty skrzekot zabity w Ordynacji. W roku zeszłym na tymże tokowisku Książe Ordynat odstrzelił takiego samego skrzekota. Tegoroczny jest wielkością pośredni między cietrzewiem a głuszcem, kształtem zaś i upierzeniem bardziej zbliżony do tego ostatniego. Waga jego wynosi 2,40 kg, podczas gdy cietrzew na tymże toku ubity waży 1,20 — 1,30 kg., a głuszce niedaleko stamtąd strzelone 4,60 — 4,85 kg. Długość wynosi 77 cm., z czego na ogon przypada 22 cm., podczas kiedy cietrzew długości 61, z czego na ogon 18, a głuszce 95—98 cm. na ogon z tego przypada 27 — 28 cm. Rozpiętość skrzydeł 1,18 m., podczas gdy cietrzew 90 cm, a głuszce 1,30 — 1,38 m. Dziób szaro-czarny. Róże głuszca.

Upierzenie: głowa, szyja, pierś i brzuch granatowo-czarne z fioletowym połyskiem.

Grzbiet, jak u głuszca, bronzowawy, skrzydła również, z kilkoma małemi białemi plamkami. Ogon głuszca, środkowe pióra nieco krótsze, po dwa skrajne minimalnie lirowate — podbicie ogona jasne.

Oto kilka spostrzeżeń z tokowiska i danych o samym ptaku, które niewątpliwie niejednego z czytelników zainteresują.

Kończąc—serdecznie Księciu na tem miejscu dziękuję za te cudne i niezapomniane chwile, oraz za umożliwienie mi zrobienia tych kilku zdjęć.

ANDRZEJ DOBRSKI.



Tokujący skrzekot. Fot. A. Dobrski.

HUMOR I ŁACINA MYŚLIWSKA

Księgozbiór mój myśliwski, zabezpieczony odpowiednim regulaminem, udostępniony bezinteresownie w mojem mieszkaniu dla wszystkich ludzi pracujących naukowo, cieszy się już pewnem uznaniem i poparciem kulturalnych myśliwych. Mam w każdym tygodniu miłe niespodzianki: błogosławię pocztę; mniej lub więcej cenne dary wciąż napływają.



Fragment z Puszczy Kozienickiej. Fot. J. Strzelecki

I tak było dnia 5 lutego r. b. Listonosz przyniósł mi pokaźną przesyłkę poleconą. Patrzę: poczta Swisłocz, nadawca Władysław Dydziński. Nazwisko zupełnie mi obce. Skwapliwie rozcinam papier, obiad na bok odsuwam, żona daremnie mi perswaduje, że przesyłka, to nie zając, a pieczeń wieprzowa wystygnie. Niczego nie słyszę, tylko zawzięcie przesyłkę patroszę. Czego tam nie było! Legitymacje i stare regulaminy łowieckie, pozwolenia na broń, myśliwskie fotografje dawne, zaproszenia na bal myśliwski, sporo druczków i pism litewskich o sprawach łowieckich, oraz żeton myśliwski, noszony przy kapeluszu przez członków Litewskiego Towarzystwa Prawidłowego Polowania i Rybołówstwa. Nabytek do mych zbiorów wysoko wartościowy. Czytam, oglądam, odwracam na wszystkie strony, oczy człekowi latają i znów od początku zaczynam...

Tego samego dnia skreśliłem do p. Dydzińskiego list z gorącą podzięką za cenną przesyłkę, prosząc równocześnie szlachetnego choć obcego mi ofiarodawcę o odwiedzenie mnie przy okazji pobytu w Warszawie. Do listu dołączyłem broszurkę moją p. t. „Humor i łacina myśliwska" (Przemyśl 1929), zawierającą zbiór anegdot, humoresek, opowiadań i dowcipów myśliwskich.

Prędzej aniżeli przypuszczałem, bo już dnia 20 lutego r. b. miałem wielką przyjemność i zaszczyt powitać czcigodnego gościa w osobie p. Dydzińskiego w mojem mieszkaniu. Nadzwyczaj sympatyczna drobna postać, gawędziarz świetny, którego godzinami słuchać można. A wiele epizodów myśliwskich w życiu swojem przeżył, jako leśnik w różnych stronach przedwojennej Rosji i powojennej Litwy, aż wreszcie dosłużył się polskiej emerytury, jako nadleśniczy lasów państwowych. Dziś, choć obarczony latami wysługi, pełni funkcję prywatnego nadleśnego w Puszczy Swisłockiej. Cechuje go energja, temperament, stale pogodne usposobienie i zdrowy, młodzieńczy humor.

Ciekawe historje snuł mój gość; może kiedyś wspomnę o nich na łamach „Łowca Polskiego". Dziś pragnę powtórzyć arcyciekawą gawędę, będącą wyrazem humoru myśliwskiego.

— Po przeczytaniu pańskiego „Humoru i łaciny myśliwskiej" — mówi p. Dydziński — przyszło mi do głowy pytanie: dlaczego myśliwych posądzają o łgarstwo więcej, niż kogo innego? Dla czego ów pułkownik, zapytany czy jest myśliwym, odpowiedział: „Jak mam państwu powiedzieć? Strzelby ja właściwie nie mam, ale łgać też lubię"... Przecież każdy w swoim fachu taksamo w opowiadaniach przesadza, nawet daleko więcej... Czy to nie dlatego, że z myśliwymi naprawdę zdarzają się tak dziwne przygody, że zwykłemu mieszkańcowi miasta, pracownikowi jakiegoś biura ani się śniło o tem. Wszak i Mickiewicz o myśliwych powiedział, że

„Ziemia, dla uszu zwykłych mieszczan głucha,
Tysiącem głosów szepce mu do ucha"...

— Ja naprzykład jestem stary myśliwy, poluję samodzielnie już 40 lat, a przedtem od dziecka towarzyszyłem ś. p. ojcu memu, który był zawołanym myśliwym. Nigdy, panie dobrodzieju, nie splamiłem ust moich kłamstwem. A byłem świadkiem i sam doznawałem takich przygód na polowaniu, że nikt, kto nie był i nie jest myśliwym, nie uwierzy. Opowiem panu kapitanowi parę przygód.

Pan Dydziński poprawił się na krześle, ja zaś zamieniam się w pień drzewa i słucham. Tylko ręka wodzi ołówek po papierze... notuję...

— Dziad mój, a mego ojca teść — płyną słowa starego myśliwego—był znanym na cały powiat wiłkomierski (obecnie Litwa) myśliwym; miał znakomite psy gończe. Przypominam to sobie, jak przez mgłę. Ojciec opowiadał, że miał dziad zgraję złożoną z 8-miu psów, które się nazywały: Zagraj, Wdzięczna, Lutnia, Teraz, Niechaj, Ciężki, Smutek, Mija *). Po śmierci dziadka psy się dostały memu ojcu. Ja pamiętam tylko cztery psy z tej kompanji: Zagraja, Lutnię, Ciężkiego i Smutka. Miałem może lat siedem czy osiem, jak wziął mnie ojciec na polowanie w zimie. Polowano nad brzegiem rzeki „Świętej". Mróz tęgi. Psy ruszyły zająca, ja stałem obok ojca, przy samej zamarzniętej rzece i widzę: zając na rzekę, psy za nim, zając do przerębli — niema go. Dech mi zamarł — co teraz będzie? Psy dopadły do przerębli, trop obwąchały i — buch! Zagraj pierwszy do wody, za nim reszta. Zakwiczałem nieswoim głosem: „Niema naszych piesków" i w płacz. Ojciec zatkał mi gębę rękawiczką: „Cicho bądź"! — Ucichłem i słyszę jakby z pod ziemi: „bum, bum, ciach, ciach!"... grają psy pod lodem; Zagraj basem, Lutnia dyszkantem. Okręciły i przez ten sam otwór w lodzie wyłonił się szarak — mokry, jak bóbr. Strzał — i szarak w torbie. Pamiętam to doskonale, choć przeszło z górą 50 lat od tego wypadku...

— Później, kiedy już z własną pistonówką łaziłem za ojcem na polowanie, mając lat 11—12, były u nas trzy psy gończe: Oto, którego służba zwała Ottonem, Rozkosz i Moja, zwana Mojką. Bajeczne psy. Ale przyszedł na nie zły dzień. Jednego dnia Oto się wściekł, Rozkosza w jesieni wilki zjadły, pozostała szczenna Moja. Przyjechałem z gimnazjum wileńskiego na święta Bożego Narodzenia, poszliśmy z ojcem na szaraka. Dochodzimy do lasu. Moja pobiegła naprzód i zaraz na brzegu lasu ruszyła zająca. Postawił mnie ojciec na przesmyku, sam pobiegł na drugi. Czekamy. Bajecznie goniła Moja, po 5—6 obrotów dawała; i gon taki kończył się zawsze albo ubiciem szaraka, albo, jeśli kusy daleko gdzieś uchodził, trwał do nocy. W nocy suka wracała do domu.

— Tym razem gon potrwał pół godziny — i zamilkł. Czekamy kwadrans, 20 minut — niema... Woła mnie ojciec: „Źle, synu, z naszą gończycą! Napewno

*) Trzeba to właściwie czytać bez przestanków przecinkowych. (Przyp. aut.).

wilki ją porwały, bo nie taka to suka, aby na pół godziny gubiła trop". Idziemy szukać po lesie, ojciec trąbi, a mnie aż się płakać chce; tak kochałem Mojkę, a do tego rozpacz, że wakacje zimowe zmarnowane, bo drugiego psa nie było wtedy u nas. Może z godzinę łaziliśmy — nic nie słychać. Ojciec zły, ja smutny... Nagle: „ciach! ciach! ciach!" Goni. Moja! Kochana! Serce podskoczyło z radości — gon idzie w naszą stronę, coraz wyraźniej słychać jej głos kontraltowy, ale prócz kontraltu jakiś jeszcze pisk słychać: „cik — cik — cik" — kie licho? — Wyłania się szarak, ojciec go kropnął i po chwili taki widok: ciężko, prawie że stępa, biegnie Mojka, a za nią sześcioro małych, jak krety, szczeniąt, dających znać o sobie cienkiemi głosikami: „cik — pik, cik — pik". Okazało się, że oszczeniła się psica w trakcie gonu; ledwie oblizała swe szczenięta — i dalej tropem szaraka, a szczenięta za nią... Dzielne z nich psy potem wyrosły; często się zdarzało, że spudłowanego lub niestrzelonego zająca goniły, aż zamęczonego śmiertelnie łapały i przynosiły jeszcze żywego do myśliwych.

— Ale i zające zdarzają się mądre — ciągnie dalej mój czcigodny gość. — Ja sam, będąc leśniczym w Rosji, w gubernji kostromskiej, taką scenę obserwowałem: 3 godziny goniły psy bez przerwy i jakoś nie udało się strzelić. Stoję na ścieżce w lesie. Gon się zbliża i widzę — sadzi bielak prosto na mnie. Język wywalony, ledwo dyszy ze zmęczenia... „Nareszcie"! — myślę sobie. Wtem mój bielak, nie dochodząc kroków sto, przysiada, tyka nosem pod młody świerk, i krzyczy ochrypniętym głosem: „Nie mohu bolsze!



Przyszły „gracz". Fot. M. Olszanowski.

Maksim, tiepier ty". (Co znaczy: Nie mogę więcej! Maksymie, teraz ty). Na to z pod świerczka wyskakuje drugi bielak (widocznie na imię mu było Maksym), skręca w bok i wali, a psy za nim; pierwszy zaś zwija się „w kołaczyk", jak tam mówią, i kładzie się pod tym samym świerczkiem... Oczywiście, sumienie nie pozwoliło podejść i strzelić do leżącego. A tamten wodził psy jeszcze 3 godziny; i wróciłem do domu „popem"...

— Kto się nie zna na polowaniu „z ogary", ten gotów pomyśleć, że blaguję, ale uczciwie panu powiadam, że to szczera prawda, com opowiedział.

— Albo taka przygoda na Polesiu: byłem studentem, polowałem w czasie robót leśnych z dubeltówką-pistonówką, czyli pompówką, bo do niej nabój trzeba było pompować z góry. Odziedziczyłem ją po ojcu, a ze strzelbą razem róg na proch, bajeczny róg, „długi, kręty, jak wąż boa" (tylko że nie centkowany).



„Śpiewka" — ogar. Fot. J. Hołyński.

W tym rogu mieścił się równiuteńko funt prochu. Jedziemy dwiema „duszehubkami" po rzece i strzelamy do kaczek. Na jednej łódce ja z przewoźnikiem, na drugiej gajowy — typowy Poleszuk, co to po błocie chodzi, jak łoś i w wodzie nie tonie. Pamiętam, pudłowałem straszliwie, kląłem, „rugałem" przewoźnika i kaczki, i siebie samego. W pewnej chwili, chąc nabić swą „fuzyję" po strzale, za mocno targnąłem za sznur zielony, na którym przewieszony przez ramię wisiał mój róg z prochem. Sznur się urwał — i róg plusk do wody i na dno. Cholera! Szkoda rogu, szkoda prochu i polowanie przepadło. Ale gajowy Poleszuk powiada: „Niczeho, panoczku, zaraz dostaniem, tu nie hłyboko". Zrzuca czapkę i w ubraniu buch do wody. Dał nurka — i niema go. Minuta, dwie, pięć — niema. Strach wielkooki podniósł mi czapkę na głowie: przez głupi proch człowiek utonął... „Ratujcie" — krzyczę. Ale mój przewoźnik sobie kpi: „Panie! kab Harasim utonuł u hetoj parszywoj reczce? Nigdy!" — i pokazuje mi ręką na prawo i w dół odemnie. A woda przezroczysta, widać dno. Zrobiłem z dłoni, „końskie okulary", nachylam się, patrzę na dno — i czy uwierzy pan? Widzę: siedzi w kucki na dnie mój Harasim — gajowy i najspokojniej w świecie przesypuje proch z mego rogu do swej „prochownicy"... Ot, pomyśli kto, że to niemożebne... Ba! nie znacie, co to jest Poleszuk. Chytry i łapczywy na proch...

Spisałem wiernie gawędy mego zacnego rozmówcy.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.



W końcu kwietnia r. b. ukazała się wydana przez Pomorskie Towarzystwo Łowieckie w Toruniu, z okazji dziesięciolecia istnienia tego T-wa, jednodniówka p. t „*Łowiska Pomorskie*", poświęcona dorobkowi łowiectwa tych ziem oraz chlubnej działalności zrzeszeń i osób z pośród pionierów łowiectwa pomorskiego.

Na 60-ciu stronicach formatu 20 × 30 cm, na pięknym papierze ilustracyjnym, ozdobiona 43-ma reprodukcjami fotografij, jedniodniówka ta otrzymała również odpowiedni układ graficzny i estetyczną szatę zewnętrzną, okładkową. Wszystko to wykonano w Rolniczej Drukarni i Księgarni Nakładowej w Poznaniu, pozostającej pod zarządem p. Jana Kuglina, znanej ze staranności wydawniczej. Cena zł. 4.—.

Pamiątkowe to wydawnictwo rozpoczyna reprodukcja fotografji A. Gottwalda, przedstawiająca Pana Prezydenta Rzplitej, siedzącego wśród kniei pomorskiej, zatytułowana „Odpoczynek po łowach na kaczki na Pomorzu 1933 r. — Łąki Czerskie". Bezpośrednio potem następuje wiersz podpisanego „Na stanowisku", dedykowany Panu Prezydentowi Rzplitej, Prof. Ignacemu Mościckiemu. Dalej umieszczono również na całych stronach reprodukcje fotografij - portretów Min. Władysława Raczkiewicza, Wojewody Pomorskiego, oraz Gen. Broni Kazimierza Sosnkowskiego, Prezesa Polskiego Związku Łowieckiego. Na odwrocie tej ostatniej karty wydrukowano słowa, wypowiedziane przez Generała - Prezesa w stronę łowiectwa pomorskiego i myśliwych tej dzielnicy, a stwierdzające, że „Pomorze stoi na wysokim poziomie kultury łowieckiej i należy do dzielnic Polski, zrzeszających w ramach Polskiego Związku Łowieckiego największą ilość ideowych myśliwych" i zakończone życzeniem rozkwitu łowisk i dalszych sukcesów w pracy dla dobra łowiectwa.

Pierwszą kartę treści (str. 11) zajmuje reprodukcja i opis obrazu ściennego, pendzla prof. Henryka Nostitz - Jackowskiego z Poznania, zdobiącego „Salę Rycerską" w Zamku Bierzgłowskim pod Toruniem. Piękne to i w ciekawą formę artystyczną ujęte malowidło powstało dzięki inicjatywie J. E. Biskupa Chełmińskiego, Dra Stanisława Okoniewskiego, który jest popularną postacią wśród myśliwych Pomorza, jako wielki miłośnik przyrody.

Dalej czytamy kolejno wspomnienia pośmiertne: o ś. p. Stanisławie Ossowskim, założycielu i pierwszym prezesie Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, zawierające życiorys i sylwetkę zasłużonego na wielu niwach działacza, organizatora pracy społecznej, dzielnego myśliwego - hodowcy i przedewszystkiem gorącego patrjoty; drugie o ś. p. Stefanie Różyckim z Wlewska, który cieszył się wielkim mirem wśród leśników pomorskich.

„Kilka słów z historji Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego" pisze Inż. Michał Bernakiewicz. Dziesięcioletni okres istnienia swego T-wo zaznaczyło szeregiem wybitnych posunięć, ostatnio zaś, jak to stwierdził na wstępie tej księgi Prezes Gen. Broni Kazimierz Sosnkowski, owocną pracą nad zorganizowaniem Pomorskiego Oddziału P. Z. Ł., nie wahając się jednocześnie zlikwidować Pomorskie Towarzystwo Łowieckie, które równocześnie zmieniło nazwę, nadal pracując rzetelnie dla rozwoju polskiego łowiectwa. Obecnie Oddział ten liczy ponad 900 członków P. Z. Ł. W dalszym ciągu tej krótkiej lecz zaszczytnej historji kilka słów dodaje ostatni prezes P. T. Ł., a obecny prezes Pomorskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, Szamb. Tomasz Komierowski, podnosząc zasługi działaczy łowieckich Pomorza, między innymi obecnego Wojewody Raczkiewicza, Dyrektora L. P. w Toruniu Inż. Józefa Zagórskiego, Dra Jana Łukowicza, Dra Leona Ossowskiego. Nadl. Feliksa Soboczyńskiego, Dra Marcelego Łukowicza i Nacz. Michała Bernakiewicza, którzy walnie przyczynili się do rozwoju Pom. T-wa Łow.

„Kilka słów, ale zawsze na czasie" pisze Władysław Janta-Połczyński, który i tutaj podnosi protest przeciwko rozdrabnianiu wielkiej własności, będącej zawsze największą i najtrwalszą ostoją wielkości polskiego łowiectwa. Słowa nestora myśliwych polskich na Pomorzu nasycone są goryczą, wypływającą jednak z troski o przyszłość „ideologji łowiectwa i największego jej orędownika — ziemiaństwa".

Rubryka „Z myśliwskich klubów pomorskich" zawiera dzieje Pomorskiego Klubu Myśliwskiego w Grudziądzu, Zachodnio-Pomorskiego Klubu Myśliwskiego w Chojnicach i wreszcie Kościerskiego Powiatowego Towarzystwa Łowieckiego, jako trzech najstarszych zrzeszeń myśliwskich, obok których powstały ostatnio kluby niemal w każdem większem mieście Pomorza.

„Łowiska pomorskie" opisuje w obszerniejszym artykule Dr. Inż. Leon Ossowski, wymieniając i charakteryzując knieje pomorskie oraz ich mieszkańców łownych, stanowiących w swej różnorodności niebylejaką chlubę Pomorza, zgromadzającego w swych ostojach i łowiskach obfitość gatunków zwierzyny. Autor w barwnym wstępie zaznacza mocno, że, myśliwy nietylko musi strzelać, ale winien być zarówno hodowcą" i dodaje, że jeśli knieja pomorska obfituje w tak liczne gatunki zwierzyny, zawdzięczamy to myśliwemu - hodowcy i leśnikowi, bowiem w 1920 r. lasy pomorskie i pola świeciły prawie że pustką po zdziesiątkowanej przez wojnę światową i rewolucję zwierzynie.

Wyliczmy za Dr. Ossowskim, dla przypomnienia sobie, gatunki zwierzyny Pomorza. A więc jest tam jeleń, wśród pogłowia którego trafiają się wspaniałe osobniki, o wymiarach wieńców rekordowych, dalej szeroko rozprzestrzeniona sarna, daniel, liczny dzik, zając - szarak, królik, lis, tumak, kamionka, borsuk, tchórz, łasica i gronostaj; z ptactwa: wszędzie są kuropatwy i bażanty, z rzadkości czarne bociany i kormorany, dalej wiele odmian kaczek dzikich i nurów, gęsi, łabędzie, szereg różnego drobiazgu i przedstawiciele świata drapieżców z błotniakiem stawowym i chytrym złodziejem ryb czaplą. Zaszczyt niemały przynosi pomorskim lasom na Kaszubach jarząbek, tak rzadki na zachodzie i wreszcie najwpanialszy ptak wśród kurowatych — głuszec, który rozmnaża się szczęśliwie, a ilość graczy wynosi już bezmała 200.

„Pomorska wystawa łowiecka" (listopad 1933 r.) opisana jest szczegółowo wraz z wyliczeniem nagrodzonych trofeów w działach: jeleń, daniel, sarna, dzik oraz trofea różne i zbiory.

Następnie Józef Władysław Kobylański daje sylwetkę Dra Leona Szumana, znanego i cenionego myśliwego, poety i publicysty, nieżyjącego od r. 1920. Jest to „wyciąg z opracowanej biografji". W artykule p. t. „W uznaniu zasługi" ten sam autor opisuje chlubną działalność łowiecką Dra J. Sirwind-Łukowicza. Wreszcie pisze o Drze Inż. Leonie Ossowskim i o jego działalności publicystycznej w dziale łowiectwa.

Następuje artykuł p. Dabińskiego p. t. „Czy potrzebne są pokazy psów myśliwskich", dowodzący, że jak użytkowość winna iść w parze z prawidłowością budowy psa tak próby polowe winny być zawsze uzupełniane pokazami, na których główną uwagę zwraca się na eksterjer.

Dr. Inż. Leon Ossowski daje artykuł sprawozdawczy p. t. „Pomorze na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w 1937 roku", uzupełniając go wykazami trofeów wystawców pomorskich.

Podpisaną inicjałem „W" czytamy krótką, bo w roku 1935 początek biorącą historję „Łowiectwa na fali pomorskiej", w której autor przypomina szereg wybitniejszych audycyj z próbą transmitowania rykowiska jeleni, odbytą z łowiska w Pruskołące p. R. Kentzera, o czem w swoim czasie pisano w „Łowcu Polskim". Autor podkreśla ważną rolę radja dla propagandy łowiectwa, co na Pomorzu, dzięki przychylnemu ustosunkowaniu się Dyrekcji Rozgłośni w Toruniu, dało już widoczne rezultaty.

W „Rozmowie z Mistrzem" p. J. Wysocki daje streszczenie wywiadu, dokonanego z p. Konstantym Koszembar - Łyskowskim, najlepszym strzelcem Pomorza, znanym zawodnikiem standowym u nas i zagranicą. Mistrz pomorski wygłasza swoje doświadczone zdanie na tematy: odległości strzałów i doboru broni, strzelania standowego do rzutków i gołębi, i o związku tego strzelania ze strzałami do zwierzyny. Dowiadujemy się

dalej, że Mistrz pomorski, rozporządzający nielada techniką strzelecką, w r. 1933 zajął czwarte miejsce w Monte - Carlo na 128 zawodników, następnie, że po rocznej przerwie powraca na standy. Widzieliśmy go już w czerwcu r. b. na zawodach Pionek, gdzie jednak miał dzień pechowy, rozbił bowiem tylko 87/100 rzutków, zajmując 8-e miejsce. Wreszcie p. Łyskowski niezwykle pochlebnie wyraża się o krajowych nabojach, dodając, że pod względem amunicji Polacy nie mają wcale mniejszych szans od cudzoziemców na standach zagranicznych. Narzeka natomiast p. Łyskowski na brak zainteresowania strzelaniem myśliwskiem w społeczeństwie, a więc na brak moralnego oparcia dla zawodników i wskutek tego brak młodego narybku... Zwycięstwo w konkursach przypisuje p. Łyskowski tym samym czynnikom, jakie wymienił w swym artykule na ten temat („Ł. P." Nr. 18 z r. b.) St. bar. Rosenwerth.

Dr. Inż. L. Ossowski daje artykuł p. t. „Nowe drogi hodowli posokowców w Polsce". Są to fachowe uwagi na temat niezmiernie ważny: pracy za postrzałkiem, bez wykonania czego myśliwy grzeszy przeciw etyce myśliwskiej wobec rannej zwierzyny. Dr. Inż. Ossowski wiele już zrobił i nadal oddaje się z zamiłowaniem i znajomością rzeczy rozwojowi hodowli posokowców u nas, czem przynosi łowiectwu polskiemu ważkie usługi.

Prof. Dr. Edward Lubicz Niezabitowski zamieszcza niezmiernie ciekawy artykuł p. t. „Zwierzęta łowne Pomorza w czasach przedhistorycznych", w którym mowa jest o zwierzętach, występujących w epokach lodowych i w okresach międzylodowcowych na ziemiach polskich, a tem samem i na Pomorzu, oraz o dalszych losach tych zwierząt. Autor tę naukową pracę podaje w formie jasnej i przystępnej, mogącej wskutek tego zainteresować nietylko przyrodnika, ale poprostu każdego czytelnika, a tem więcej myśliwego.

O wielkim poecie kaszubskim Hieronimie Derdowskim (1852 — 1902), dając jego krótką biografję, pisze Józef Wł. Kobylański i przytacza wyjątek z poematu „Jarosza Dyrdy" p. t. „Jasiek z Kniei".

Dalej znajdujemy w opracowaniu ks. Alfonsa Mańkowskiego historję i rozmieszczenie geograficzne „Symboliki rogów jeleni w kościołach polskich", która była według dowodów historycznych przejawem kultu św. Huberta.

O „Głuszcach i tokach głuszcowych na Pomorzu" pisze Stanisław Nowosielski z Klosnowa. W artykule zawarte są jego spostrzeżenia, wrażenia i przeżycia z toków w leśnictwie Olszyny nadl. Giełdon w Puszczy Tucholskiej, gdzie autor był kierownikiem leśnictwa przez dłuższy szereg lat. Znajdujemy tam, prócz opisu wrażeń, cenne uwagi i ciekawe obserwacje, związane z życiem głuszców i warunkami ich rozmnoży oraz odstrzału.

Jeszcze raz występuje Dr. Inż. L. Ossowski, tym razem opisując „Jarząbki na Pomorzu". Autor na podstawie różnic upierzenia jarząbków pomorskich i wschodnio kresowych, wysuwa przypuszczenie, że jarząbek kresowy stanowi odmianę północną *(Tetrastes bonasia L.)*, natomiast występujący na Pomorzu (a więc i na Śląsku? — p r z y p. m ó j) odmianę południową *(Tetrastes bonasia rupestris* Brehm). Stan jarząbków na Pomorzu podaje autor na około 250 sztuk, przyczem w ostatniem siedmioleciu stan ten waha się pomiędzy 200 — 250 — sztuk, nie wzrastając dalej, czego przyczyny dopatruje się dr. Ossowski najzupełniej słusznie w zbytniej ingerencji człowieka w ostojach jarząbkowych. Środki zaradcze przeciw możliwości zaniku tej rzadkiej a przemiłej zwierzyny, to walka z drapieżnikami i złodziejami jaj, oraz niestrzelanie kur.

Następuje opis biegu myśliwskiego, ujętego we wspomnienie „Św. Hubert w I baonie strzelców konnych w Chojnicach w 1934 r.", zamieszczone dla zadokumentowania, że i ta tradycją pielęgnowana odmiana sportu myśliwsko-konnego znajduje do dziś zwolenników, a łączy się w dniu 3 listopada z kultem św. Huberta.

Ostatnim artykułem jest ciekawy opis „Rezerwatu cisowego w państw. nadl. Wierzchlas, pow. Tuchola" pióra Inż. Aleksandra Wyszyńskiego. Cis jest dziś rzadkością, zabytkiem przyrody u nas, to też należy mu się szczególnie troskliwa opieka i pieczołowita ochrona. Chociaż wierzchlawski rezerwat liczy dziś tylko niecałe 4.000 sztuk drzew (w porównaniu do przedwojennego stanu 5.300), to jednak jest wyjątkowo wielkiem skupiskiem drzewostanu cisowego, jakiego niema w całej Europie, a jak suponuje autor — nawet na całej kuli ziemskiej.

Księgę pamiątkową Łowiectwa Pomorskiego kończy wykaz odznaczeń łowieckich, jakie w postaci najwyższego odznaczenia łowieckiego „Złomu", jak również Medali Zasługi Łowieckiej: złotego, srebrnego i bronzowego, otrzymali od Polskiego Związku Łowieckiego pionierowie i działacze łowieccy na Pomorzu oraz ich dzielni pomocnicy — leśnicy. „Złom" posiadają Dr. J. Łukowicz i Szambelan Tomasz Komierowski; Złotych Medali Zasługi Łowieckiej rozdano na Pomorzu 14; srebrnych — 3 i bronzowych — 14. Sądząc z wysokiego poziomu łowiectwa i kultury myśliwych Pomorza, liczby te w nowej epoce łowiectwa polskiego, rozpoczętej sporządzeniem nowego statutu u schyłku r. 1936 i reorganizacją ustroju związkowego, będą stopniowo wydatnie rosnąć.

WŁ. Z.

*

Napewno niektórzy czytelnicy naszego wydawnictwa znają już pióro F r i e d r i c h a v o n G a g e r n'a, doświadczonego zwłaszcza na polskim terenie łowieckim myśliwego i pisarza. Ostatnią jego pracą jest wydawnictwo *„Birschen und Böcke"*. Książka ta wydana została przez firmę Paul Parey w Berlinie. Jak wszystkie inne wydawnictwa tej firmy, jest ona opracowana fachowo i starannie zarówno pod względem technicznym, jak i literackim. W tekście zawiera 16 kolorowych tablic akwarelowych, wykonanych przez samego autora, oraz kilka zdjęć fotograficznych. Zewnętrznie zdobi ją piękna płócienna oprawa ze złotemi napisami. Cena Rm. 6.50.

Niewiele książek może uzyskać podobny poziom pośród wydawnictw niemieckich, dotyczących literatury myśliwskiej, jak dzieło Friedricha von Gagern'a, w którem autor wykazał, obok istotnej znajomości rzeczy, bardzo wiele walorów artystycznych i umiłowania przyrody. Niezależnie od fachowego przygotowania i wielkiego doświadczenia, zarówno w dziedzinie łowieckiej jak i przyrodniczej, Friedrich von Gagern posiada jeszcze znakomite odczucie przyrody. Jego bystra obserwacja, bogata siła odtwórcza, miłość lasu i zwierzyny, trzeźwość i dojrzałość myśliwskich doświadczeń i jego stosunek do myślistwa pozwalają czytelnikowi odczuwać błogie chwile rozkoszy. Friedrich von Gagern jest typem prawdziwego myśliwego, nie zaś myśliwego-strzelacza. Samo przebywanie w terenie uważa on za najwyższą rozkosz. Puszcza gada do niego poszumem liści, szemraniem strumieni — całą głębią tajemniczego życia; lasy i knieje niosą mu wiosenną pieśń grającego głuszca; pola wioną bogatym kolorytem jesieni. Wieluż to myśliwych tych rozkoszy nie zna wcale, wielu z nich uprawia swój zawód tylko dla przyjemności strzelania, dla uzyskania tytułu króla polowania, lub tylko dla celów gospodarczych. Im to właśnie książka ta mogłaby odkryć wiele ciekawych zjawisk przyrody, nauczyć ją kochać i poznawać, czytać, jak z otwartej książki.

Z wielkim talentem pisarskim opowiada nam Gagern ze skarbnicy wspomnień o swoich przeżyciach łowieckich. Przed ciekawem okiem czytelnika ożywia się świat myśliwski w całej swej pięknej, bogatej, barwnej szacie. Odtwarza nie rekordowe polowania i nie wielkie łowy, lecz samotne podchody i podjazdy, codzienne polowania na kozły w węgierskich rewirach leśnych i górskich, w Krainie, na Bukowinie, w Galicji i w Polsce. Lecz nietylko te opowiadania wyróżniają tę pracę z pośród innych dzieł myśliwskiej literatury niemieckiej. Główniejszą rzeczą są tu efekty myśliwsko-hodowlanych doświadczeń, powstałe wskutek długoletnich obserwacyj, dociekań i badań życia różnej zwierzyny, a sarn w szczególności.

Najsilniejsze i najciekawsze poroża sarnie, stanowiące jego trofea, zostały przez autora bardzo dokładnie własnoręcznie odtworzone. Tablice tych rysunków przedstawiają kształt i formę tych poroży lepiej, niż to zwykle wychodzi na fotografji. W ten sposób wydawnictwo to zyskało wiele na wyglądzie zewnętrznym, gdyż tablice te przedstawiają jakgdyby bronzowe odlewy poroży, a wszystko tchnie jednakowym duchem silnej, naturalnej rzeczywistości. Dlatego też i poszczególne rozdziały tej książki, których jest 16-cie, należy traktować poważnie.

Może i w tem również leży wartość książki, że czytelnik zmuszony jest często do zastanowienia się i rozważenia zawartych

w poszczególnych rozdziałach zagadnień. Myśliwy, który książkę tę przeczyta, da ją do przeczytania drugiemu, by potem wspólnie pewne zagadnienia lub wątpliwości omówić.

Możnaby na tem poprzestać, gdyż ogólny charakter książki, może niezbyt trafnie, omówiłem. Czułbym się jednak nie w porządku wobec tych czytelników, których ta praca zainteresuje. Prócz tego sama duma narodowa nie pozwala mi ominąć bez uwagi paru rozdziałów, poświęconych polowaniu w Polsce. Nie wiem w jakim stopniu należy wierzyć w zawartą w nich treść, która w żadnym wypadku sławy dawnej szlachcie polskiej nie przynosi. Autor poddaje tu bardzo ostrej krytyce stosunki gospodarcze polskie, przypisuje polakom wzajemne zwady i sprzeczki, brak gościnności (!) i sąsiedztwa. Mało tego, lubuje się wprost w ujmowaniu godności ludzkiej Polakom. Spotykamy tam nazwiska takie, jak Kondratowicz, Sułkowski i inne. Jako przykład przytoczę tu jeden szczegół. Zaproszony pewnego razu pan Gagern w gościnę do Sułkowskiego miał być świadkiem następującej sceny: dobrze zakrapiana, wesoła uczta, przerywana kilkakrotnie przez gospodarza, kończy się strzałami, skierowanemi przez Sułkowskiego do wiszących na ścianie portretów, przedstawiających podobizny jego przodków. Na uwagę, uczynioną przez Gagern'a gospodarzowi, ten ostatni miał jakoby oświadczyć, iż nie pochodzi z rodziny Sułkowskich i dlatego ich nie szanuje... Dalej następuje bardzo ciekawy wywód pochodzenia Sułkowskiego.

Pomijając to, że w literaturze myśliwskiej podobna dygresja (nie wiem, czy można ją nazwać polityczną, raczej chyba — wyssaną z palca, lub mocno przesadzoną) nie wpływa dodatnio na całość wydawnictwa, należy również podkreślić i to, że publikacja podobnych wersyj, których jest zresztą w tej książce sporo, nie świadczy chlubnie o osobie autora, jak i o lojalności naszych sąsiadów.

STEFAN M. MACKIEWICZ.

*

Znany fotograf-amator, p. Włodzimierz Puchalski, wydał serję kart pocztowych myśliwsko-przyrodniczych.

O wartości tej serji z punktu widzenia fotografiki współczesnej, jak również o jej walorach estetycznych, pisać nie będę. Dziś już nazwisko p. Puchalskiego mówi samo za siebie, a czytelnicy „Łowca Polskiego" dobrze znają prace tego utalentowanego fotografa. Dość powiedzieć, że na ostatnio wydaną serję 12 kart pocztowych składają się najlepsze z dobrych zdjęć p. Puchalskiego, jakie podziwialiśmy na łamach „Łowca Polskiego". Łosie, dziki, łanie, sarny, puhacze, gołębiarze, dzikie łabędzie, żórawie, łasiczki, oto okazy naszej fauny, umieszczone na tych kartkach.

Ponieważ byłem kilka razy członkiem jury sędziowskiego na konkursach fotograficznych „Łowca Polskiego", może łatwiej mi jest ocenić prace p. Puchalskiego. W czasie przeglądania olbrzymiego materjału, przysyłanego na konkursy, z roku na rok widoczne było, że poziom tego materjału się poprawiał. Nieraz zadawałem sobie pytanie, czy Puchalski znowu utrzyma się na pierwszem miejscu. I utrzymał się, pomimo, iż konkurencja była coraz silniejsza. Poziom jego prac stale podnosił się i nie mam wrażenia, aby ostatnie jego zdjęcia wyczerpały już wszystkie możliwości. Puchalski z przedziwną intuicją artysty potrafi wyszukiwać w przyrodzie objekty, które przeniesione na kliszę fotograficzną stanowią skończoną formę piękna. Dlatego z radością należy powitać ukazanie się serji kart przyrodniczo-łowieckich. Serja ta spełni swoje zadanie propagandowe w zupełności i może lepiej, niż niektóre inne poczynania propagandowe.

Zachwycać się umiemy, nawet umiemy oceniać prace Puchalskiego, umiejmy więc też wyciągnąć korzyści, jakie ta serja może dać propagandzie polskiego łowiectwa.

Musimy na każdym kroku, przy każdej okazji wykorzystywać te karty. Pisząc zagranicę, nie zapominajmy o nich. Karty Puchalskiego niech zastąpią zwyczaj posyłania biletów wizytowych z życzeniami imieninowemi czy noworocznemi. W ten sposób osiągniemy to, co prawdopodobnie autor tych kart miał na widoku.

Propagujmy racjonalne łowiectwo wszelkimi sposobami, a więc — mając taki materjał — i zapomocą kart pocztowych, wydanych ostatnio przez p. Puchalskiego.

M. MNISZEK TCHORZNICKI.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

DER DEUTSCHE JÄGER

N. 9/1938, str. 176. *„W jakich wypadkach ubita kuropatwa nie daje odwiatru?"* — Zagadnienie to, wzbudzające sprzeczne zdania myśliwych, oświetla dr. Ullrich z Pragi w sposób następujący. Ptaki, a zwłaszcza zwierzyna łowna, posiadają w skórze liczne mięśnie z unerwieniem, zarówno podległem ośrodkom świadomości, jak i biernem. Mięśnie bierne łączą pomiędzy sobą piórka małe właściwego upierzenia, mięśnie czynne, kierowane świadomością, obsługują całą skórę z piórami. One to umożliwiają zjawisko stroszenia piór u ptaków. Weźmy teraz pod uwagę najczęściej wymieniany przykład słabego odwiatru kury, wzbijającej się po strzale świecą w górę i spadającej następnie kamieniem w dół w stanie martwym. Aby zrozumieć przyczynę trudności odnalezienia przez psa tak zabitej kury, należy sobie uprzytomnić, iż u ptaków zjawisko t. zw. pośmiertnego stężenia następuje bardzo szybko. Pod jego wpływem powstaje skurcz mięśni skóry, a wraz z nim wszystkie pióra ptaka układają się w pancerz, ściśle przylegający do ciała i wstrzymujący wydzielanie odwiatru. W tych warunkach pies może istotnie przejść tuż obok ubitego ptaka i nie zwietrzyć go, o ile się bezpośrednio nań nie natknie. Podobne zjawisko, tylko w słabszym stopniu, zachodzić może ze zbarczoną i przywarowującą kurą, która pod wpływem strachu świadomie wywołuje skurcz mięśni skórnych, aby zmniejszyć odwiatr podobnie, jak to ma miejsce u kur wysiadujących jaja. — Przeciwnicy tego rozumowania, zwalający winę nieodszukania przez psa kury czysto ubitej na brak powonienia u psa, powołują się na fakt, że pies o dobrym wietrze potrafi odszukać kurę, która nawet dzień cały w lodowni przeleżała. Okoliczność ta nie przeczy, ale raczej potwierdza tłomaczenie dr. Ullricha — pośmiertne bowiem stężenie ustępuje po paru godzinach, pióra wiotczeją i odwiatr się wzmaga.

DEUTSCHE JAGD

N. 11/1938, str. 227. K. Frey *„Łowiectwo a autostrady"*. — Przypuszczenie, wyrażone przez autora przed paru laty, w chwili otwarcia ruchu na autostradach niemieckich, iż częste wypadki przejeżdżania zwierzyny przez samochody będą się zmniejszały w miarę oswajania się zwierzyny z tym ruchem i odpowiedniego przystosowania się kierowców — nie sprawdziło się. Pomimo ustawienia przez kierownictwo Reichsautobahn tablic ostrzegawczych w miejscach przesmyku zwierzyny, wypadki przejeżdżania zwierzyny są nadal bardzo częste. W leśnictwie Löwenhof, przeciętem przez autostradę Frankfurt — Kassel, od września 1936 r., kiedy ruch na tym odcinku otwarto, zostały przejechane 34 sarny i 36 sztuk jeleni, nie licząc sztuk okaleczonych czy zabitych, których nie odnaleziono. Pozatem stwierdzono wypadki przejechania przez samochody dzika i lisa, nie mówiąc już o zającach, które sprawcy ubicia najczęściej zabierają z sobą. Przyczyną wszystkich tych przypadków jest wyłącznie nadmierna szybkość jazdy, gdyż autor, sam korzystający z auta, nie ma na sumieniu żadnego przejechania, pomimo częstych spotkań ze zwierzyną, z zasady bowiem nie rozwija przy przejeździe przez lasy szybkości większej nad 50 km. g. Oczywiście spotkanie z tak grubą zwierzyną, jak np. jelenie, nie przechodzi bezkarnie ani dla samochodu, ani dla kierowcy. Równocześnie jednak tak liczne wypadki przejeżdżania zwierzyny odbijają się fatalnie na jej hodowli. Łowisko bar. v. Frankensteina, liczące w 1936 r. 110 sztuk jeleni i około 100 sztuk sarn, ma dziś zaledwie 55 jeleni i 45 sztuk sarn, pomimo b. starannej ochrony i racjonalnego odstrzału. Co gorsza, zabiegi hodowlane i selekcyjny odstrzał kozłów i byków nie osiągają celu, bo giną właśnie znajdujące się w większości reproduktory wyborowe, co wpływa na stopniowe zwyrodnienie zwierzostanu.

WILD UND HUND

N. 3/1938, str. 33. Fuschlberg *„Łowiectwo w niemieckiej Austrji"*. — Wobec zjednoczenia organizacyjnego łowiectwa austrjackiego z Deutsche Jägerschaft" autor zaznajamia myśliwych Rzeszy z warunkami łowieckiemi w Austrji. Przed wojną łowiectwo w monarchji habsburskiej zajmowało jedno z pierwszych miejsc w Europie. Po wojnie i rozpadnięciu się Austro-

Węgier zdawało się, że łowiectwu na ziemiach Austrji okrojonej grozi zagłada. Od katastrofy ochroniła je energiczna akcja świadomych myśliwych, którzy przeprowadzili nowelizację ustaw łowieckich, obowiązujących w poszczególnych krajach związkowych, dzięki czemu obostrzono opiekę nad zwierzyną, wprowadzono planowy odstrzał, stworzono zaczątek organizacji łowieckiej. Stan zwierzyny zaczął się wydatnie poprawiać, kłusownictwo poczęło się cofać. Ale z chwilą załamania się gospodarczego pod wpływem kryzysu światowego sytuacja zmieniła się zasadniczo. Przedewszystkiem odpadli dzierżawcy wielkich terenów łowieckich, cudzoziemcy, zwłaszcza z Niemiec. Zubożeli właściciele łowisk nie byli w stanie prowadzić ich na własną rękę, nie mogli hodować i dokarmiać zwierzyny, nie mogli jej należycie ochraniać. Pozbawiona zarobku służba łowiecka zawodowa poczęła kłusować, okoliczna ludność wiejska, czerpiąca dotąd dochody uboczne z łowiectwa, jako naganiacze, przewodnicy, woźnice, wpadła w nędzę, która jest złym doradcą, zwierzyna niedokarmiana i niechroniona zaczęła się rozbiegać, padając tem łatwiej ofiarą wygłodzonej ludności.

To też obecne przyłączenie Austrji do Niemiec jest dla łowiectwa austrjackiego zapowiedzią odrodzenia. Udostępnienie terenów myśliwskich dla bardziej zamożnych kół niemieckich, przy równoczesnem rozciągnięciu przepisów ustawy łowieckiej Rzeszy, zapewni bezsprzecznie Austrji ponowny rozkwit łowiectwa. A możliwości są b. duże, gdyż zwierzyny jest w Austrji dużo i to bardzo rozmaitej. Do najbardziej charakterystycznej należą kozice i świstaki. O ilości pierwszych świadczyć mogą rozkłady do 50 sztuk kozic, ubijanych w jednem pędzeniu przy użyciu chorągiewek (fladr)! Oczywiście nie jest to polowanie dżentelmeńskie, ustępujące znacznie co do emocji podchodzeniu kozłów, zwłaszcza w okresie rui, w listopadzie. Świstaki dają ładne trofea w postaci pięknej skóry i pomarańczowych siekaczy, a niełatwo dają się podejść, zmuszając do strzału kulowego na znaczną nieraz odległość. Mocne jelenie spotyka się zarówno w górach, jak i w lasach równinnych; piękne zwłaszczą wieńce dają jelenie z błoni naddunajskich. Stan sarn jest powszechnie bardzo dobry, najlepsze parostki dają jednak sarny na podgórzu. Ze zwierzyny skrzydlatej na miejsce pierwsze wysuwa się głuszec, który występuje gromadnie w górach, dając możność osiągnięcia pięknych rozkładów. Tamże spotyka się liczne cietrzewie oraz jarząbki, zaś w dolnej Austrji — bażanty i kuropatwy.

J. G.

Pierwsze posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Muzeum Myślistwa

W dn. 20.V. r. b. odbyło się w gmachu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa pierwsze posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Muzeum Myślistwa, w którem wzięli udział: Dyr. St. Leśniowski, jako Przewodniczący, oraz Dyr. Grzegorzewski, Kierownik Biura Użytków Ubocznych i Łowiectwa Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych, Dyr. J. Hausbrand — Dyr. Inst. Badawczego L. P., Dyr. Dr. T. Jaczewski — Dyr. Muzeum Zoologicznego, Inż. H. Knothe, kpt. J. W. Kobylański, Inż. W. Lindemann i Dyr. A. Śliwiński.

Posiedzenie to miało charakter wstępny, dotyczyło bowiem ustalenia nazwy przyszłego Muzeum, przyczem ostatecznie przyjęto nazwę „Muzeum Myślistwa", oraz zapoznania się z naszkicowanym w ogólnych zarysach programem zbiorów. Muzeum Myślistwa mieścić się będzie w specjalnej dużej sali w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, gdzie przejściowo znajdować się będzie również Muzeum Leśnictwa. Pieczę nad tem Muzeum sprawować będzie Muzeum Rolnictwa, Polski Związek Łowiecki oraz Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych.

Powstanie idei utworzenia Muzeum Myślistwa zawdzięczamy P. Z. Ł., w którym jeszcze przed 3 laty zapadła w tej sprawie decyzja, przyczem na kustosza tego muzeum obrano Inż. H. Knothe. Inż. H. Knothe w r. 1936 nawiązał kontakt z Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w osobie Dyr. St. Leśniowskiego. Obecnie sprawa ta została całkowicie skrystalizowana. Jednostką prawną będzie Muzeum Rolnictwa, a do czuwania nad organizowaniem i rozwojem Muzeum Myślistwa powołano specjalny Komitet. Postanowiono w związku z tem zaprosić do pracy w Komitecie Karola księcia Radziwiłła, jako reprezentanta wielkiej własności prywatnej, będącego równocześnie przedstawicielem rodu, słynącego z zamiłowań i pięknej tradycji łowieckiej, Dyr. Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego J. Żabińskiego oraz przedstawiciela Min. Wyzn. Rel. i Oświecenia Publicznego.

Zdecydowano zaangażować stałego fachowego kustosza, któryby czuwał nad rozwojem muzeum i zajmował się urządzeniem oraz konserwacją zbiorów.

Powstanie Muzeum Myślistwa spotka się niechybnie z gorącem uznaniem wszystkich wyznawców św. Huberta, którzy nie poskąpią chyba swej pracy i realnej pomocy przy uzupełnianiu i gromadzeniu zbiorów.

Inż. W. LINDEMANN.

XIII Narodowe Zawody Strzelectwa Myśliwskiego

Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego P. Z. Ł. podaje do wiadomości zainteresowanych XIII Narodowemi Zawodami Strzelectwa Myśliwskiego, którą odbędą się na strzelnicach w Szczęśliwicach pod Warszawą w dniach 8—10 lipca r. b. szczegółowy program Zawodów:

I dzień. 8 lipca godz. 8 rano.

O Mistrzostwo m. stol Warszawy oraz o nagrody honorowe za dalsze miejsca.

Konkurencja Mśr. I, 100 rzutków w 4 serjach po 25 rzutk. odległość 15 mtr. Uczestnictwo jednostkowe, postawa stojąca, broń myśliwska kal. maks. 12, waga śrutu w naboju maks. 36 gr., śrut Nr. 6.

Jednocześnie na strzelnicy kulowej — konkurencja Mk. 1. Strzelanie do jelenia biegnącego na 100 mtr. Strzelanie o nagrody honorowe. Uczestnictwo jednostkowe, postawa stojąca, z wolnej ręki, ilość strzałów 25 w 5 serjach, 2 strzały próbne na całe strzelanie. Przebieg jelenia wielkości naturalnej 23 mtr w 4 sekundy. Broń myśliwska kulowa, dopuszczona również typu wojskowego. Możliwych punkt. 125. Czas: 10 min. na serję.

Konkurencja Mk. 2. Strzelanie kulą do 2 dzików, puszczonych jeden za drugim. Odległość 50 mtr. Ilość strzałów 50 (25 × 2) w 5 serjach. Czas — 15 min. na serję. Możliwych 250 punkt. Inne warunki, jak w konk. Mk. 1.

Konkurencja Mk. 3. Strzelanie kulą do pojedyńczego dzika. Odległość 50 mtr. Ilość strzałów 25 w 5 serjach. Czas: 10 min. na serję. Możliwych 125 punkt. Inne warunki, jak w Mk. 1.

II dzień. 9 lipca godz. 8 rano.

O Mistrzostwo Mazowsza i nagrody honorowe dla dalszych miejsc (łącznie z wynikami z poprzedniego dnia).

Konkurencja Mśr. 2. 100 rzutków w 4 serjach po 25. Warunki jak w Msr. 1.

Jednocześnie na strzelnicy kulowej dalszy ciąg strzelań Mk. 1, 2, 3.

III dzień. 10 lipca godz. 8 rano.

O Mistrzostwo Polski (łącznie z wynikami z poprzednich 2 dni). O puhar, dwie nagrody przechodnie i nagrody honorowe dla dalszych miejsc.

Konkurencja Mśr. 3. 100 rzutków w 4 serjach po 25. Warunki jak w konkur. Mśr. 1 i 2.

Na strzelnicy kulowej zakończenie strzelań Mk. 1, 2 i 3. Tytuł Mistrza Polski w strzelaniu kulowem przyznany zostanie zawodnikowi za najwyższą ilość punktów, osiągniętą we wszystkich rodzajach strzelań kulowych. (Mk. 1, 2, 3), przyczem do oceny będzie brane sześć pierwszych miejsc w/g następującej punktacji: I miejsce — 6 punktów, II — 5 punkt. III — 4 punkt. IV — 3 pkt., V — 2 pkt., VI — 1 pkt.

Na Zawodach obowiązuje Regulamin Strzelań Narodowych Myśliwskich, opracowany przez Komisję Gł. Strzelectwa Myśliwskiego.

Wpisowe ogólne do wszystkich konkurencji 2 zł. od zawodnika. W konkurencji Msr. 1, 2, 3, po 15 zł. za każde 100 rzutków. W konkurencji Mk. 1, 2, 3, po 5 zł. za każdą konkurencję.

Termin zgłoszeń zawodników upływa z dn. 6 lipca.

Rozdanie nagród i dyplomów nastąpi w dn. 10 lipca o godzinie 20 w lokalu Polsk. Zw. Łowieckiego, Nowy Świat 35. Po rozdaniu nagród wspólny obiad. Dojazd na strzelnicę koleją E. K. D., ul. Nowogrodzka, róg Marszałkowskiej.

ZAWODY STRZELECKIE PRACOWNIKÓW PAŃSTW. BANKU ROLNEGO W WARSZAWIE

W dn. 11 i 12 czerwca r. b. na Strzelnicy Bractwa Strzelców Kurkowych w Szczęśliwicach odbyły się V Zawody Strzeleckie Pracowników Państwowego Banku Rolnego w Warszawie.

Zawody dla dorosłych poprzedzone były zawodami dla młodzieży — dzieci pracowników Banku od lat 10 do 16.

Pierwsze miejsce wśród młodzieży zajął Jan Kaleński, uzyskując 94 punkty na 100 możliwych.

W konkurencji dla starszych pierwsze miejsce zdobył p. Jan Leixner, uzyskując 98 punktów, II miejsce — p. Kazimierz Cybulski — 98 punktów, III miejsce — p. Jerzy Smoliński — 97 punktów.

Z Pań najlepszę miejsce uzyskała p. M. Burska — 98 punktów na 100 możliwych.

Pozatem w zawodach brali udział niżsi funkcjonarjusze. Na pierwsze miejsce wysunął się w. Trefan — 100 punktów na 100 możliwych.

Dla wszystkich zawodników obowiązywała w konkurencjach z broni małokalibrowej odległość 50 m.

Osiągnięte wyniki strzelań świadczą o tem, że praca nad spopularyzowaniem i podniesieniem strzelectwa wśród szerokich rzesz pracowniczych Państwowego Banku Rolnego — była celowa i skuteczna.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

POWIAT GOSTYNIN WOJ. WARSZAWSKIEGO

W dniu 10 lipca 1938 r. o godz. 16-ej w gmachu Starostwa Powiatowego w Gostyninie odbędzie się Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Polskiego Związku Łowieckiego z nast. porządkiem obrad:

1) Zagajenie.
2) Wybór sekretarza i dwóch asesorów.
3) Wybór członków do Powiatowej Rady Łowieckiej.
4) Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
5) Wolne wnioski.

W myśl p. 50 statutu P. Z. Ł. Walne Zgromadzenie Powiatowe będzie prawomocne w pierwszym terminie bez względu na ilość obecnych członków. Osobne powiadomienia rozsyłane nie będą.

GUSTAW JANASZ
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT ŁĘCZYCA WOJ. ŁÓDZKIEGO

W dniu 28 czerwca o godz. 17 w sali Rady Powiatowej w Łęczycy odbyło się zebranie powiatowe członków Polskiego Związku Łowieckiego z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie.
2. Wybór członków do Pow. Rady Łowieckiej.
3. Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
4. Wybór Podłowczych.
5. Wolne wnioski.

WIESŁAW ŻAKOWSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT GRÓJEC WOJ. WARSZAWSKIEGO

W myśl § 50 statutu Pol. Związku Łowieckiego zwołuję zwyczajne Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Pol. Zw. Łowieckiego, zamieszkałych lub posiadających tereny łowieckie w powiecie grójeckim, na dzień 21 lipca godz. 10.30 w sali konferencyjnej Starostwa Powiatowego w Grójcu, z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie.
2) Wybór sekretarza i 2 asesorów Prezydjum.
3) Odczytanie protokółu.
4) Sprawozdanie z dotychczasowej działalności.
5) Wybór członków Pow. Rady Łowieckiej.
6) Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7) Wolne wnioski w sprawach łowieckich.

TADEUSZ MORAWSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

Z KOMISJI PROPAGANDOWEJ.

Komisja Propagandowa P Z. Ł. zawiadamia, że z jury konkursu na broszurę propagandową wystąpił P. Red. Walenty Garczyński, na jego miejsce zaś wszedł Przewodniczący Komisji Propagandowej P. Józef Skrzypek.

TREŚĆ NUMERU:

W sprawie szkód zrządzonych przez zwierzynę i odszkodowań za nie (dok.) — *A. Śliwiński.* Poleska pogaduszka — *St. Podgórski.* Dżin — *Z. Kelus-Lipkowska.* Z mikotem na kozła — *St. Hoppe* i *W. W. G.* Skrzekot — Tetrao medius — *A. Dobrski.* Humor i łacina myśliwska — *J. Wł. Kobylański.*

Przegląd wydawnictw — *Wł. Z., St. M. Mackiewicz* i *M. Mniszek Tchorznicki.* Z prasy zagranicznej — *J. G.* Pierwsze posiedzenie Komitetu Org. Muzeum Myślistwa — *Inż. W. Lindemann.* XIII Narodowe Zawody Strzelectwa Myśliwskiego. Zawody strzeleckie Państw. Banku Rolnego w Warszawie.

Z Polskiego Związku Łowieckiego: Walne Zgromadzenia Organów P. Z. Ł.; Z Komisji Propagandowej.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dyiewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Gryminiski, Wł. Janta-Połczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, B. Świętorzecki, K. Świderski, K. hr. Wodzicki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał zł. 6; za pół roku zł. 12; za rok zł. 24; miesięcznie zł. 2. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OGŁOSZENIA DROBNE

Bażantyna—karma dla młodych bażantów. Liczne zaświadczenia z kilkuletnich prób najpoważniejszych bażantarni. Zamówienia przyjmuje S. Kamocki Milanówek Grupowska 12 telef. 147.

Druki z Wystawy berlińskiej, trzy pojedyńcze komplety do nabycia. Zawierają one piękne, kolorowe i bogato ilustrowane druki, mające łączność z łowiectwem a rozdawane na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie. Są to druki biura wystawy, czasopisma łowieckie, broszury obcych państw, cenniki i ulotki dotyczące zagadnień łowieckich jak: karmienie zwierzyny, ochrona ptaków, psy, broń, amunicja, preparatornie, ozdoby, naczynia, lunety, lornetki, przybory i ubiór myśliwski, wydawnictwa, plakaty oraz kartony różnych zaproszeń. Komplet I-y zawiera 190 sztuk, cena z przesyłką 30 zł. Komplet II-gi zawiera 125 sztuk, cena z przesyłką 20 zł. Komplet III-ci zawiera 80 sztuk, cena z przesyłką 13 zł. Wysyłka nastąpi po uprzednim nadesłaniu należności. Wiadomość w Administracji „Łowca Polskiego".

Jamniki długowłose, szczenięta. Odbiór w końcu lipca. Teresa Górska. Kamienica, p. Gostyczyn k/Tucholi, Pomorze.

Hodowla psów myśliwskich, Brześć n/B. sprzedaje 2 młode wyżlice niemieckie, szczenięta laweracki, foksterriery.

Kupię lepszą bezkurk. szesnastkę „Sauer" w dobrym stanie, lub zamienię dobrą dwunastkę „Purdey" za takową. P. Hajda, Państw. Leśn. Miłaszko, przez Grabów n/Prosną.

Laweracka pięknego, dwuletniego, b. dobrze ułożonego, sprzedam. Warszawa, telefon 11 86 91, lub Łowicz, ulica Piłsudskiego 71, Wiechecki.

Na starość zbieram stare blachy służby leśnej i łowieckiej, tj. tarcze z napisem „Straż leśna dóbr... lub „Straż łowiecka dóbr..." itp., które noszą na ramieniu lub na torbie służbowej gajowi lasów prywatnych i miejskich, Proszę o te tarcze we wszystkich odmianach i wielkosciach, z napisami w różnych nawet językach — do zbioru mojego, który na wystawie berlińskiej okazał się jedynym i bezkonkurencyjnym zbiorem na świecie. W imię dobra polskiego łowiectwa, proszę bardzo o cenną pomoc w tej sprawie. Życie ucieka, czas nagli. Nie odkładajmy. Józef Wł. Kobylański, kapitan rez. Warszawa 1, ul. Górnośląska 16, m. 38.

Puhacza zdrowego, dobrze ułożonego, kupię. Oferty pod „J. C.", do „Łowca Polskiego".

Skradziono „Tekę myśliwską" Sichulskiego. Znana jest myśliwym „Teka myśliwska" artysty malarza prof. Kazimierza Sichulskiego, zawierająca 10 dużych tablic. „Teka" taka, z własnoręcznym, atramentem kreślonym podpisem artysty i dedykacją dla Józefa Weyssenhoffa — została skradziona. Ktokolwiek miałby jakąś wiadomość o tej „Tece", prosimy zawiadomić o tem Redakcję „Łowca Polskiego".

Sprzedam wyżły rasy niem. krótkowłote, w drugiem polu. Leśniczy Kozłowski, Gorazdowo p. Borzykowo.